ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 1(98) • Styczeń 2014 • Cena 3,00 zł

ISSN 1897-4023

Abc pieniactwa

Parę osób pytało mnie, czy brak w ostatnich numerach Echa wstępniaków to reperkusje po „Kto kłamie…”? I tak, i nie. Tak, bo nie należę do „walczaków”, ani drapieżników, dla których zapach krwi jest motorem działania i po prostu coraz częściej zadaję sobie pytanie, czy taka walka z wiatrakami ma sens. W Wojcieszynie wszak nie mieszkam. Nie, bo po prostu nie było miejsca, a szkoda, żeby wynurzenia podrzędnego lokalnego redaktorzyny ukazały się kosztem ciekawych, moim skromnym i nieskromnym zarazem zdaniem, materiałów o panach Bronisławie Maciejaku czy Józefie Zatwardnickim.

I pewnie sprawa umarłaby, albo przynajmniej zapadłaby w sen zimowy, gdyby nie dwie sprawy.

W związku z artykułem na temat wyborów Człowieka Ziemi Złotoryjskiej, który ukazał się na portalu E-legnickie, rozgorzała dyskusja, w której zarzucono mi, że stosuję podwójne standardy etyczne. Z jednej strony piętnuję ludzi, którzy w sumie przecież nic niezgodnego z prawem nie zrobili (czyżby?), z drugiej strony zaś mam pewien wpływ na wybór ludzi, którzy zostali laureatami wyborów Człowiek Ziemi Złotoryjskiej w ubiegłych latach, a co do których są różnego rodzaju zastrzeżenia.

W dodatku wyboru tego publicznie bronię. Powtórzę więc jeszcze raz. Przy wyborach Człowieka Ziemi Złotoryjskiej dbamy, żeby procedura była jak najbardziej przejrzysta, a dokonany wybór szczegółowo uzasadniony. Każdy etap: lista zgłoszonych kandydatur, nominowana piątka jest upubliczniony. Nikt w czasie wyborów nie wnosił nigdy żadnych zastrzeżeń. Obydwaj dotychczasowi laureaci uzyskali tytuł za szczególne osiągnięcia w danym roku: Mirosław Kopiński za II Bieg Szlakiem Wygasłych Wulkanów w 2011 r., Andrzej Kowalski za otwarcie Skansenu w Leszczynie w 2012 r.. Kapituła uznała wtedy, że te dokonania kwalifikują tych ludzi, społeczników, do tytułu. I tego będę bronić! Bronić będę również idei samych wyborów, bo uznanie tym ludziom po prostu się należy. Nikt natomiast nie robi z nich świętych.

No i drugi powód… Po ukazaniu się felietonu „Kto kłamie, ten kradnie” odbyłem rozmowę, w której kilka razy padło stwierdzenie, że kij ma dwa końce. Wkrótce po tym zarzucono mojej żonie, że prowadząc wyjazdowe warsztaty maturalne, za zajęcia dodatkowe otrzymała, wraz z innymi nauczycielami wynagrodzenie ze stowarzyszenia Prima, działającego przy szkole, w której pracuje. I nie był to zbieg okoliczności.

Pan prezes stowarzyszenia Prima, Paweł Chomiczewski ,sprawę bardzo szybko wyjaśnił, dodatkowo z dyrekcją szkoły ustalił jeszcze bardziej rygorystyczny sposób obiegu dokumentów i pieniędzy, dzięki którym na przyszłość nikomu do głowy nie powinien przyjść pomysł, że coś mogłoby być nie tak. I o to chodzi, żeby sprawy załatwiać, a nie chować głowę w piasek i udawać, że nic się nie stało. No cóż, kij rzeczywiście ma dwa końca, czasem tylko trzeba uważać, za który koniec się złapie.

Przypomina mi się, jak trzy lata wcześniej sfotografowałem pewien samochód na pasach i parę osób wykazało swoje niezadowolenie z faktu upublicznienia pewnego problemu. Dostałem burę nie tylko od ówczesnego pana Komendanta, ale również od kilku znajomych policjantów. Na osłodę, byli też ludzie, w tym również funkcjonariusze policji, którzy za ten czyn mój niecny, mnie nie skrytykowali i wsparli moralnie.

W sumie jednak wychodzi na to, że nie lubimy wyciągać na światło dzienne małych grzeszków, wolimy czekać, aż wrzód na tyle urośnie, że sam pęknie i rozleje się cuchnącą cieczą.

Czy warto więc zajmować się takimi podrzędnymi sprawami, drobnymi występkami przeciwko…, no właśnie przeciwko czemu? Dobrym obyczajom? Obecnie za dobre uważa się przecież dbanie o własne korytko.

Nadal będę jednak uparty. Wielkie rzeczy zaczynają się zwykle od drobnych. Przy wielkich rzeczach działa cała rzesza ludzi, którzy są zainteresowani, żeby przynajmniej na zewnątrz wszystko było lege artis. Jeden kryje drugiego, jeden jest gotów poświadczyć nieprawdę za drugiego, nawet jeżeli grożą za to sankcje karne. Bo wszyscy są „umoczeni”. I wtedy zwykle jest już za późno. Kto wie, czy gdyby swego czasu ktoś kiedyś nie zwrócił mi uwagi, nie dał impulsu do przemyśleń, może nie podchodziłbym do spraw uczciwości, etyki, honoru tak radykalnie. Dlatego nadal jestem przekonany, że ludzie z natury są uczciwi, chcą być uczciwi, tylko trzeba dać im szansę, a od czasu do czasu lekko potrząsnąć.

Przy okazji bardzo łatwo jest o etykietkę pieniacza, albo kogoś, kto chce realizować jakieś niecne polityczne cele. Rzeczywiście granica jest bardzo cienka, ale chyba wyraźna, zawierająca się m.in. w intencjach.

Z przecieków wiem, że pan starosta stwierdził, że nie życzy sobie, aby takie artykuły pojawiały się w mediach. Nie wiem tylko, czy chodziło mu o to, żeby skrzętnie ukrywać wszystkie tego typu wątpliwe wydarzenia, czy, żeby do nich po prostu nie dochodziło. Żywię szczerą nadzieję, że jednak to drugie.

Robert Pawłowski

Pierwszy złotoryjski Iron Man

Paweł Macuga: Czy jesteś człowiekiem z żelaza?

Marcin Rabenda: Chyba raczej nie. Nie powiedziałbym tak o sobie. Sądzę, że nie zbliżyłem się do swoich granic. U każdego człowieka są one dalej, niż ludzie myślą. Może jak zrobię podwójnego IRONMENA… Na razie jestem takim ołowianym żołnierzykiem.

Co trzeba zrobić, żeby przepłynąć 3800 m, potem po wyjściu z wody przejechać rowerem 180 km i na koniec jeszcze przebiec 42 km i 195 m - a wszystko w nieco ponad 10 godzin?

To samo, co musi zrobić ktoś, kto chce się dostać do filharmonii: ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć. Po prostu trzeba się dobrze przygotować. Liczy się systematyczność. Tu wszystkie dyscypliny trzeba harmonijnie połączyć.

Każdy może tego dokonać?

Myślę, że każdy. Właściwie, jeśli nie ma przeciwwskazań lekarskich, zależy to tylko, od jakiego poziomu się zaczyna. Jednym zajmie to rok, innym 3 lata.

A twoja przygoda z bieganiem zaczęła się…

Ja właściwie byłem skazany na sport, szczególnie na bieganie, bo tata - trener, nauczyciel, pedagog, jeszcze niedawno pracował w liceum jako wuefista. Od najmłodszych lat obracałem się wśród zawodników. Żyłem takim trybem typowo sportowym. Kalendarz roczny był podzielony na cykle treningowe. W roku były dwa obozy kondycyjne, na które jeździłem jako dziecko i bawiąc się, podpatrywałem. W 5 klasie startowałem już w biegach przełajowych pod okiem wspaniałych trenerów: Tadeusza Pietroszka, Tadeusza Szapowała i Jana Smolińskiego. Kiedy ukończyłem szkołę podstawową, całą opiekę trenerską wziął na siebie tato. Po wygraniu makroregionu Dolnego Śląska w biegach przełajowych na 5000 m, wybitny trener UKS Oleśniczanka i późniejszy trener kadry narodowej Wiesław Kiryk zaproponował, żebym przeszedł do tego klubu i trenował pod jego okiem. Dwie klasy ogólniaka to w zasadzie wyjazdy i zgrupowania. Biegałem z takimi zawodnikami jak Mirek Plawgo czy Grzegorz Gajdus. Wiele się od nich nauczyłem i bardzo rozwinąłem pod okiem Kiryka. I tak kariera rozwijała się do momentu, kiedy trzeba było podjąć strategiczną decyzję. Ci, którzy trenowali w Oleśniczance, przechodzili na etaty wojskowe. To znaczy byli żołnierzami i dalej trenowali. Pomysł bycia trenującym żołnierzem mało mi się podobał. Dlatego, kiedy trzeba było wybrać przedmioty fakultatywne i kierunek studiów, odszedłem z klubu, kończąc sezon fajnymi wynikami, rekordami szkoły.

Czyli przestałeś biegać, ale dalej byłeś skazany na sport?

Poszedłem w ślady taty i rozpocząłem studia na Akademii Wychowania Fizycznego. W Gorzowie Wielkopolskim biegałem w akademickiej drużynie, ale na 3 roku podczas treningu piłki nożnej zerwałem więzadła krzyżowe. Przeszedłem dwie operacje, po których stwierdzono, że o bieganiu i jakimkolwiek większym wysiłku nie ma mowy, jedynie - rekreacja. Ale sportowe marzenia pozostały. Po paru sezonach wróciłem do takiej „formy”, że mogłem potruchtać parę kilometrów. Na pewno nie byłem spełniony sportowo. Wtedy właśnie w OLAWS-ie pojawił się pomysł wzięcia udziału w półmaratonie w Pradze. Praktycznie bez treningu wystartowałem i ukończyłem go z dobrym wynikiem. Po tym wiedziałem, że organizm zregenerował się po kontuzji na tyle, że mogę wrócić do sportu.

Rozumiem, że dzięki OLAWS-owi odświeżyłeś pasję. Czy wyobrażasz sobie w ogóle życie bez sportu?

Mówiąc wprost: sport jest już dla mnie jak narkotyk. Jak człowiek nie dostanie po treningu dawki endorfin, to jest ciężko.

Jaki jest Twój największy sukces sportowy?

Ciężko powiedzieć. Na pewno spełnieniem marzeń było ukończenie IRONMENA. Ten pomysł kiełkował już na studiach. Przebiegnięcie maratonu było w sferze marzeń, a zrobienie IRONMENA było czymś nieosiągalnym. Zafascynowała mnie wówczas postać Jerzego Górskiego – naszego najwybitniejszego triatlonisty – Mistrza Świata w podwójnym IRONMENIE. Człowieka, który wyszedł z wielkiego nałogu i pokonał swoje wewnętrzne słabości. Zrobił coś, co jest po prostu niewyobrażalne dla wielu ludzi. Małymi kroczkami dążyłem do tego. Najpierw ukończyłem kilka maratonów, potem zawody triatlonowe na krótszych dystansach. Podpatrywałem, na czym ludzie jeżdżą, jak trenują, jak się odżywiają w cyklu treningowym. W 2009 roku stwierdziłem: jak nie teraz, to kiedy? Jak tylko otworzyli listę na IRONMENA Regensburg 2010, od razu się zapisałem i nie było już odwrotu. Trzeba było ułożyć plan treningowy. Nie było żadnych książek ani publikacji. Wprawdzie we Wrocławiu trenowała już ekipa Sidora, ale oni przygotowywali się od 2007 roku w ramach jakiegoś projektu.
Ja miałem tylko rok. Sam sobie ułożyłem plany treningowe. Pierwszym poważnym sprawdzianem była połówka IRONMENA w Czechach, gdzie wygrałem z wszystkimi zawodnikami Sidora, którzy trenowali już trzy lata. Ostatecznie w Regensburgu ukończyłem IRONMENA z czasem 11 godzin 16 minut i 48 sekund. Byłem drugi z Polaków. Ciekawostką jest to, że na samym maratonie wyprzedziłem ponad 500 osób. Potem jeszcze wyżej postawiłem poprzeczkę i rozpocząłem mocniejsze treningi. Niestety, nałożyły się kontuzje, które wyeliminowały mnie na dwa lata ze startów.

Co poradziłbyś rozpoczynającym przygodę z bieganiem?

Żeby mierzyli siły na zamiary, bo można sobie zrobić krzywdę, jeżeli postawi się za wysoko poprzeczkę, a organizm nie był wcześniej w żaden sposób aktywny. Małymi krokami osiągać małe cele i być systematycznym. Dobrać odpowiedni plan do założonych celów. Lepiej być niedotrenowanym niż przetrenowanym.

A tym, którzy biegają już dobrze?

Szukać rezerw. Możemy modyfikować plany z zeszłego sezonu, powielać bodźce i stać w miejscu. Naprawdę każdy ma jakieś rezerwy. Jeden w gimnastyce siłowej, inny w skoordynowaniu sylwetki w biegu, trzeci - w diecie, a czwarty - w odnowie biologicznej. Każdy po zakończeniu sezonu powinien zrobić sobie rachunek sumienia. Ustalić, gdzie są deficyty i skupić się nad tym, żeby je wyeliminować.

Przed czym chciałbyś przestrzec?

Człowiek uczy się na błędach, których parę już popełniłem, więc nie ma sensu, żeby ktoś popełnił je znowu. Przerwa, o której wspomniałem, po udanym sezonie w 2010, była spowodowana przetrenowaniem. W 2011 miałem już nawet opłacony start w IRONMEN Zurich. Postawiłem dość wysoko poprzeczkę. Ale nie tyle poprzeczka była za wysoko co środki treningowe, które sobie dobrałem. Były nieadekwatne do mojego trybu życia. Przy moim obciążeniu w pracy, krótkim odpoczynku, niewielkiej odnowie, organizm się zbuntował. Sygnały, które mi dawał, zlekceważyłem, trenowałem dalej na takich bodźcach. Dopiero po roku zorientowałem się, że to przetrenowanie.

Czy jest to coś naprawdę niebezpiecznego ?

Zdecydowanie. To może dopaść i sportowca, który rozpoczyna karierę i osobę, która trenuje już na wysokim poziomie. Nie chodzi tu tylko o zmęczenie typowo fizyczne, ale i obwodowe. Jest dużo sygnałów, które organizm nam daje, że trzeba coś zmodyfikować. Nieraz trzeba odpuścić ze 3-4 dni, niekiedy tydzień lub dwa i to wystarczy. Jeśli jednak to zlekceważymy i nie damy organizmowi czasu na odpoczynek, to ten system psychofizyczny się po prostu zbuntuje. Dojdzie do mikro-urazów, przewlekłych infekcji, urazów kostno stawowych i mięśniowych. Dla mnie to było bardzo przykre doświadczenie, z którym sobie na szczęście poradziłem i udało mi się wrócić do sportu. Teraz wiem, jak te sygnały odczytywać.

Jakie to sygnały?

Ogólne znużenie, trening jak u wyrobnika, nie dający radości, brak motywacji, apatia, zmęczenie także to obwodowe – psychiczne, zmienne nastroje. Nie wolno lekceważyć tych sygnałów!

A skoki tętna?

To już jest już objaw - efekt a nie sygnał. Są trzy fazy: zmęczenie, przemęczenie i potem przetrenowanie. Jak odpuścimy, to wszystko wróci do normy, a jak zacznie się trzecia faza, pojawią się zaburzenia powiedzmy układu sercowo-oddechowego, skoki tętna, nadmierna potliwość w czasie treningu, zaburzenie łaknienia - typowe objawy przetrenowania. Wtedy rekonwalescencja trwa najdłużej, od pół roku do roku i więcej. To eliminuje zawodnika z jakichkolwiek treningów. Można wykonywać specyficzne ćwiczenia, ale pod okiem specjalisty. Są tacy, którzy nigdy już nie wracają do sportu – to skrajne przypadki, ale możliwe. W wyniku nieleczonego przetrenowania dochodzi do wypalenia, to coś jak wypalenie zawodowe.

Czy twoje sukcesy pomagają ci w pracy zawodowej?

Na pewno. Czuję się mocniejszy, pewniejszy, bardziej jakby wiarygodny. Wiem, że to, co przekazuję młodzieży, ma odniesienie praktyczne. To przekłada się na wyniki pracy z młodzieżą. Również moje doświadczenia zdobyte w tej szkole jako uczeń i zawodnik. Moi nauczyciele i trenerzy przekazali swoje zaangażowanie, pasję.

A ty chciałbyś zrobić z uczniów wyczynowców?

Nie mówię o wyczynie, ale o uczęszczaniu na zajęcia, zajęcia dodatkowe, startowaniu w zawodach na szczeblu lokalnym. Nie chodzi o to, żeby ktoś od razu biegał maratony, ale żeby w takim wieku pokazać, że ruch jest ważnym elementem życia. Pokazać sposób na odreagowanie stresów. Przebiegnięcie paru kilometrów, pogranie z kolegami w piłkę, wyjazd na basen, jazda na rowerze to alternatywa dla używek. Mam też nadzieję, że oni przekażą to swoim dzieciom.

Jak godzisz sport, obciążenia treningowe z życiem rodzinnym?

Nie jest to łatwe. Staram się nie robić tego kosztem rodziny, ale niestety, nie zawsze się udaje. Czasem na przykład biegam rano, kiedy żona i syn śpią, a drugi trening robię wieczorem, kiedy wszyscy kładą się spać. Albo wtedy kiedy Marcel jest w szkole. Idealnie jest, kiedy syn ma zajęcia na basenie, a ja obok robię trening pływacki. Staram się też, żeby wszystkie wyjazdy - starty, przynajmniej te główne, były wspólne i zgodne z mottem OLAWSA - „zwiedzanie i bieganie”. Syn (7 lat) miał już nawet swój pierwszy start w dziecięcym mini triatlonie w Sierakowie.

Który start był dla Ciebie najtrudniejszy, który dał Ci najwięcej satysfakcji?

Najtrudniejszy był pewnie pierwszy start w zawodach IRONMEN. Bo czym innym jest trening, a czym innym start na pełnym dystansie. Nie wiadomo do końca, jak zachowa się organizm. Natomiast najwięcej satysfakcji dało mi ukończenie IRONMENA we Frankfurcie 2013, bo po pierwsze - był to powrót po przetrenowaniu, a po drugie - poprawiłem pierwszy wynik o ponad 50 minut.

Ile zajmują ci przygotowania do IRONMENA?

Ja liczę 9 miesięcy. Od roztrenowania do głównego startu. To zależy też od fazy. Na początku jeden trening dziennie czyli 7 treningów w tygodniu. W bezpośrednim przygotowaniu startowym - 8 tygodni, to już nie wystarczy. Wtedy trzeba robić treningi na zakładkę: rower – bieganie, pływanie-rower albo rano pływanie a wieczorem rower itp. Dochodzi się do 14 jednostek treningowych w tygodniu. Przeliczając na godziny to około 30 godzin tygodniowo.

Może twoja postawa – osiągnięcia zainspirowały młodzież w szkole i zakładzie poprawczym, gdzie pracujesz? Czy tak samo jest z młodzieżą w ogólniaku jak z chłopakami w zakładzie?

Chyba nie ma różnicy. Ale chłopcy w zakładzie, żeby coś osiągnąć, muszą włożyć więcej pracy. Trening jest bardziej ograniczony i monotonny. Sukcesy są porównywalne. Pod moją opieką mają podobne rezultaty. Byli mistrzami Dolnego Śląska, osiągają sukcesy nie tylko w bieganiu. Miałem dwójkę na trenażerach, która zdobyła dwukrotnie mistrzostwo polski zakładów poprawczych. Biegali też półmaratony i maratony z dobrymi wynikami. Myślę, że chłopcy z zakładu są często bardziej zdeterminowani. Ale głównie chodzi mi o zainspirowanie, pokazanie pasji. Niekoniecznie musi to być bieganie.

Bez czego nie osiągnąłbyś takich sukcesów?

Na pewno bez rodziny. Na początku bez szkoły taty i wsparcia mamy. Mama zawsze mnie dopingowała i czuwała, żebym nie zaniedbywał nauki. Żeby treningi były na pewnym poziomie, to musiało być wszystko ładnie zgrane. Pamiętam na przykład, że mama mnie budziła i dawała mi kaszkę ryżową, taką dla niemowląt, żebym nie szedł na czczo na trening. Zawsze mnie wspierała, mówiła, że trzeba mieć marzenia i je realizować. Później wsparcie żony, która przymykała oko na nieobecność w domu podczas wielogodzinnych treningów. Bardzo ważne jest także dla mnie jej wsparcie podczas zawodów.

Masz jeszcze jakieś sportowe marzenia?

Chyba każdy triatlonista, który ukończył IRONMENA marzy o występie w mistrzostwach świata na Hawajach . Ale to wiąże się z zajęciem co najmniej 8 miejsca w kategorii wiekowej w którejś z edycji zawodów IRONMEN.

Paweł Macuga

Szczęście w nieszczęściu

Zdjęcie ślubne Anieli i Adama Kaczmarków - 1958 r.

W trudnych czasach dobre uczynki są na wagę złota. A gdy doświadczają jej dzieci – dobroć innych ludzi jest bezcenna. Takiej dobroci, która na kilka pokoleń połączyła dwie zupełnie obce sobie rodziny, zaznała ***Pani Aniela Kaczmarek****, mieszkanka Złotoryi od 1953 roku.*

Pani Aniela urodziła się w 1933 r. w Aleksandrowie, niewielkiej miejscowości w pobliżu Lublina. Była jednym z pięciorga dzieci swoich rodziców – Haliny i Marcina Adamowiczów. Wojna przerwała szczęśliwe życie rodziny, gospodarzącej na własnym kawałku ziemi z pomocą babci i dorastających synów. Wioskę otaczały piękne obszary leśne i zagajniki. Tamtejsze lasy idealne były dla partyzantów (do których dołączyli dwaj starsi bracia dziesięcioletniej wówczas Anieli). Niestety, te lasy pozwalały łatwo zachodzić do wsi i ułatwiały ucieczkę – w razie potrzeby, więc okazały się nieszczęściem dla mieszkańców, których wysiedlono, by uniemożliwić udzielanie pomocy. Duża aktywność mieszkańców we wspieraniu „leśnych ludzi" spowodowała w 1943 r. nagły najazd Niemców na Aleksandrów oraz inne okoliczne wioski i natychmiastowe wysiedlenia. Nakazano zabranie ciepłych ubrań, kołder, bielizny na zmianę, wielu zabierało rzeczy wartościowe i pamiątki rodzinne. Nieznany był cel podróży, nie wiadomo było, na jak długo opuszczają domy. Przerażoną i stłoczoną w wozach ludność przewieziono do najbliższej stacji kolejowej, skąd odjechali w niewiadomym kierunku.

Aniela Kaczmarek, pierwsza, powojenna fotografia z 1946 r.

Stanisław i Julianna Zielińscy z Ciechanki

Majdanek

Podróż upłynęła w niewygodzie, ścisku, ogromnej duchocie i głodzie. Ze stacji do obozu doszli pieszo. Za bramą rozdano worki, w których należało złożyć posiadany majątek w „depozyt", potem odarto z intymności - zmuszając do rozebrania się na placu i nagich zapędzono do łaźni. Przydziałowe ubrania niemieccy strażnicy rozdawali na chybił trafił. Pani Aniela pamięta, że ubranie mamy było tak małe, że bluzka i sweter odsłaniały biust i brzuch. Odzież, o której szeptano, że to pozostałość po zagazowanych Żydach, ciążyła nowym użytkownikom.

Rodzinę Adamowiczów ulokowano na placu V, w baraku długim na 15 m, z trzema poziomami prycz po obu stronach. Komu brakło pryczy - leżał na podłodze. W obozie znalazła się pani Aniela, rodzice, starszy brat i młodsza siostra, a także babcia. Dwaj pełnoletni bracia w chwili wybuchu wojny wstąpili do lokalnego oddziału AK.

Mężczyzn szybko przeniesiono do innego baraku; ojciec Pani Anieli otrzymał obozowe pasiaki i chodaki, by co dzień wyruszać z innymi w miejsce, gdzie budowano drogę w kierunku Chełma. *„Widywaliśmy go czasami z daleka na apelu o 6-7 rano, ale nie mogliśmy rozmawiać, a tym bardziej przytulić się. Od czasu do czasu jedynie w kolejce po śniadaniu tato szeptał coś mamie."* Trzynastoletni brat Józef pracował w ogrodzie uprawianym na potrzeby niemieckiej kadry. Czasami udało mu się przemycić pod czapką groszek. *„Ach, cóż to była za uczta* – ożywia się pani Aniela, ale uśmiech szybko ustępuje łzom. *- Niestety, za którymś razem odkryto kradzież! I ukarano Józefa batem."*

Każdy dzień obozowy zaczynał się brutalnym budzeniem i krzykami, po których - niemal natychmiast - należało stawić się na porannym apelu. Każde przerwanie ciszy, wyjście z szeregu, czy zwyczajnie uśmiech groziło pobiciem, a esesmanki – wyposażone w gumowe bicze niczym cyrkowe pogromczynie dzikich zwierząt - jakby czekały na ten moment. Dalsza część dnia zawsze wyglądała tak samo – śniadanie wystane w długiej kolejce (kawa i 20 dag chleba), powrót do baraku, zmaganie się z niestrawnością i zatykającym nozdrza fetorem. Jakby mało było upodleń jeszcze dokuczały wszędobylskie wszy i pluskwy. Niemal wszystkie matki godzinami dłubały w głowach dzieci, chcąc na chwile chociaż uwolnić obolałą skórę od kolejnych ukąszeń. *„Szare koce, które nam łaskawie ofiarowano do przykrycia, były gęsto upstrzone ogromnymi białymi wszami odzieżowymi, które rozmnażały się w zadziwiający sposób i były nienasycone, miałam uczucie, że mnie to robactwo zje"* – wspomina Pani Aniela. Dla oderwania uwagi od wszelkich niedogodności i głodu kobiety opowiadały dzieciom bajki, a nocami powierzały współwięźniarkom historie ze swojego życia. Opowieści suto przeplatały przekleństwami albo płaczem, użalając się nad sobą i losem swoich rodzin. Obozowe życie było pod każdym względem okrutne. *„Żywiono nas bardzo słabo. Na obiad podawano gorzką w smaku zupę nazywaną <repet uchą> - mieszankę śrutowanego owsa z brukwią. Posiłki spożywano na placu, siedząc na ziemi, wystarczyła chwila, by wiatr wystudził to biedne jadło."*

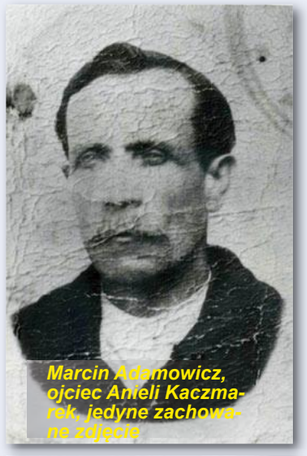

Marcin Adamowicz, ojciec Anieli Kaczmarek, jedyne zachowane zdjęcie

Rzeczywistość obozowa zmuszała do obcowania ze śmiercią. Każdego dnia nad ranem z baraków usuwano ciała zmarłych, byle jak zrzucano na taczki i podczas apelu na oczach zgromadzonych więźniów przewożono do krematorium. W zakamarkach pamięci wrażliwego dziecka pozostał także widok matki pięciorga dzieci, powieszonej za to, że z dzieckiem na ręku próbowała wcisnąć się w kolejkę, by przyspieszyć moment otrzymania przydziałowej kawy i chleba. Sierotami zaopiekowały się inne kobiety z baraku, bo naturalną reakcją na niemieckie zwyrodnienie była troska i czułość wobec skrzywdzonych. Równie mocno w pamięci utkwiła zdesperowana Żydówka, która wpadła do baraku i błagającym tonem prosiła: *„Polki, chrześcijanki ukryjcie mnie, bo wy wyjdziecie, a nas wszystkich wpakują do pieców".* Znaleźli ją i zabrali.

Najstarszy brat Stanisław z żoną Julianną, 1946 r.

Wyzwolenie

Dzień wyzwolenia przyszedł niespodziewanie. Na apelu ogłoszono w języku polskim, że można odzyskać wolność. Codziennie rano wyczytywano imiona i nazwiska i osoby te opuszczały obóz. Za bramą czekali przedstawiciele PCK, którzy pieszo prowadzili więźniów do miasta – a tam polskie zakonnice i osoby cywilne udzielały pomocy. *„Nasi opiekunowie pomagali nam, podpierali. Zaprowadzili nas do dużej świetlicy, umyli, nakarmili. Dostaliśmy delikatny żurek w małych ilościach, nie wolno nam było objadać się, bo to miałoby przykre konsekwencje"* – relacjonuje Pani Aniela. W pomoc schorowanym i osłabionym byłym więźniom zaangażowano lokalnych (z okolic Lublina) sołtysów. Po rodzinę Adamowiczów zgłosił się Stanisław Zieliński, sołtys Ciechanki, jak okazało się później – człowiek o wielkim sercu. Sołtys i jego żona Julianna mieli już dwoje dorosłych dzieci (syna i córkę). Okolica nadal nadzorowana była przez Niemców, którzy po tygodniu nakazali Zielińskim pozbycie się lokatorów. Ci jednak, obiecując, że znajdą kwaterę dla swoich podopiecznych, jeszcze przez kolejny tydzień gościli ich w swoim domu. Po upływie siedmiu dni rodzina przeniosła się niedaleko do wynajętej kwatery. Nowi gospodarze, choć uczynni, obawiali się chorób i insektów, które wciąż dokuczały sześcioosobowej rodzinie. Małżeństwo Zielińskich nie opuściło jednak w potrzebie i wciąż wspierało przybyszów – zorganizowali we wsi zbiórkę żywności, zaopatrywali w niezbędny sprzęt i lekarstwa. Każdy najdrobniejszy gest był świadectwem nadzwyczajnej wrażliwości, jaką nosili w sobie ci starsi już ludzie. Okazywana czułość i dobroć szczególnie wyrażała się w pielęgnowaniu najpierw matki pani Anieli, następnie babci, a potem najmłodszej siostry, które kolejno zapadały na tyfus i umierały. Niemal jednocześnie na tyfus zachorowała Pani Aniela i jej ojciec. Wszystkich chorych pan Zieliński dowoził do oddalonego o kilka kilometrów szpitala. Z pomocą sąsiada organizował pochówki. Ojciec umarł, gdy leżała nieprzytomna w gorączce. *„Państwo Zielińscy często mnie odwiedzali, pokonując za każdym razem 10 kilometrów. Mimo tego, że byłam ogolona na łyso i wstydziłam się tego, siadałam na parterze na parapecie i czekałam na nich." - w* głosie słychać wielkie wzruszenie. Wzajemna więź była już tak mocna, że gdy Niemcy przyszli odebrać sierotę, by przekazać ją do niemieckiej ochronki, państwo Zielińscy zdecydowanie odmówili i zobowiązali się, że będą opiekować się małą Anielcią jak rodzonym dzieckiem. Brat Józef trafił do sąsiadów – Kwiatkowskich, też zachorował na tyfus, ale wyzdrowiał.

Powrót do Aleksandrowa

Po wojnie bracia, Stanisław i Bronisław, wrócili z partyzantki i ukrywali się w schronie wybudowanym w ogrodzie warzywnym jeszcze przez ojca. Po dziewczynkę i jej brata przyjechała Katarzyna Adamowicz. Ponieważ dom rodzinny został całkowicie zniszczony po wysiedleniach, na jakiś czas zamieszkali u cioci; z czasem najstarszy brat ożenił się, wybudował dom i wziął rodzeństwo do siebie.
Z rąk niezwykle troskliwej cioci przeszli w ręce równie opiekuńczej bratowej Julianny (żony Stanisława), która otoczyła młodsze rodzeństwo męża serdeczną opieką zastępując im matkę. W 1951 r. brat Józef, w ramach organizacji Służba Polsce oddelegowany został do pracy w Złotoryi, gdzie osiedlił się na stałe. Zatrudnił się w kapeluszowni, późniejszych ZZO. *„Przyjechałam do brata i zatrudniłam się w tej samej fabryce, w której później poznałam swojego przyszłego męża - Adama."* Państwo Kaczmarkowie pobrali się w 1958 roku i od tego czasu spędzali urlopy z rodziną. Jadąc do Aleksandrowa wstępują na dwa dni do Ciechanki. Pan Stanisław Zieliński zawsze witał się serdecznie ze swoją podopieczną słowami: „Moja córcia" i „Przyjechały moje kochane dzieci". *„Pan Zieliński przeżył 92 lata, po jego śmierci nadal odwiedzaliśmy jego dzieci, teraz bywamy u jego wnuczki – Ireny i Leszka Motylów."*

Pobyt w Majdanku odcisnął się piętnem na całym dalszym życiu. I choć wspomnienia wracają w postaci sennych koszmarów, pani Aniela nie ma żalu do nikogo: *„Takie były czasy"* - tłumaczy. Ale pani Aniela przyznaje też, że miała niebywałe szczęście do dobrych ludzi, którzy w dramatycznych momentach przywracali wiarę w ludzi i nadzieję na odmianę losu. Dzięki rodzinie Zielińskich i krewnym doświadczyła wiele dobra, którego na co dzień stara się nie żałować potrzebującym.

Danuta Sosa i Joanna Sosa- Misiak
Zdjęcia z archiwum domowego Anieli Kaczmarek.

Zmierz się ze ścianą!

Co można robić w słotny, mglisty, wietrzny zimowy wieczór? Na pewno zaszyć się pod kocem z książką. Pod warunkiem, że temperament w tym nie przeszkadza. Jeśli jednak ciało nasze żąda ruchu, w głowie rodzi się chęć przygody a ogólny stan wskazuje na niedobór adrenaliny, wtedy propozycja na spędzenie czasu musi być inna. Ja w tej trudnej sytuacji wybrałam wspinaczkę. Nie na Wilczaka, nie na Ostrzycę, lecz na ścinkę w legnickiej Geco Arenie. Nie ma co ukrywać, był to mój pierwszy raz, ale zwykle w życiu od tego zaczynamy. Trzeba zrobić ten pierwszy krok, by jakoś szło dalej. Jak wyglądał mój pierwszy raz?

Hmmm…trochę nieporadnie, ale przecież nie mogło być inaczej, skoro nigdy wcześniej nie miałam na sobie uprzęży do wspinaczki, nigdy wcześniej nie wiązałam węzła ósemki i nigdy wcześniej nie byłam w sytuacji, że musiałam zaufać człowiekowi po drugiej stronie liny, czyli asekurującemu.

Moja pierwsza wędrówka w pionie nie była długa - w sensie odległości, bo czas to już inna sprawa. Oswajanie się z wysokością, z kształtem tzw. chwytów, czyli wystających ze ściany kolorowych występów trochę trwa, więc pierwsze próby wchodzenia kończyły się mniej więcej w połowie wysokości ściany. Stojąc na wysokości 5 metrów podziwiałam trzy razy młodszych od siebie „alpinistów", którzy w zawrotnym tempie i z niezwykłą gracją osiągali szczyty. Cóż, wiek robi swoje, ale pocieszałam się, że ja przynajmniej próbuję. Bolały mnie dłonie, czułam zmęczenie rąk, nogi lekko drżały, chyba ze strachu, ale było ekscytująco.

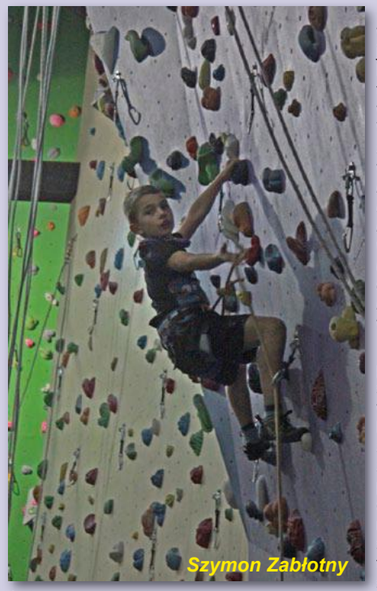

Szymon Zabłotny

Przyznam, że z całego wspinania najbardziej podobał mi się zjazd, czyli dość swobodne dyndanie na linie. Dopiero wtedy uświadamiałam sobie wysokość, jaką udało mi się osiągnąć podczas wspinaczki. Po pewnym czasie doszłam do takiej wprawy, że zaczynałam zdobywać szczyty. Nie oszukujmy się, by tak się stało, wybierałam najłatwiejsze drogi. Tu trzeba nadmienić, że każda droga ma swoje oznaczenie sugerujące stopień trudności. Ja chodziłam po tych z najniższą cyfrą. Cała sztuka polega na tym, by iść wciąż tą samą drogą, czyli korzystać z chwytów w jednym kolorze. Mnie zdarzało się mieszać barwy, bo cel był ważniejszy niż środek doń prowadzący. Potem wykazywałam się już większą dyscypliną kolorystyczną. Co więcej - próbowałam nawet wspinać się tam, gdzie ściana odchyla się od pionu, co znacznie utrudnia utrzymanie się we właściwym miejscu. Wiele jeszcze przede mną. Może kiedyś…może kiedyś wejdę tam, gdzie wzrok mój z rozmarzeniem sięga, ale do tej pory upłynie trochę wody w Kaczawie.

Geco Arena to jedyne takie miejsce w pobliżu Złotoryi, w którym w bezpieczny sposób, w miłej atmosferze można poznać smak wspinaczki. Twórcą centrum wspinaczkowego jest Tomasz Warawko, z wykształcenia inżynier budownictwa, z zamiłowania człowiek „chodzący po ścianach" i górach. To 22 ścianka, którą zbudował. W Legnicy wykorzystał w tym celu budynek po starej gazowni, który – jak twierdzi- ma swój klimat i urok. Poza tym odpowiednią wysokość – ściany sięgają 12 metrów.

Centrum wspinaczkowe działa od września i już wyrobiło sobie markę. Przybywają tu ludzie nie tylko z Legnicy, ale przeważnie z okolicy. Tomasz Warawko twierdzi, że złotoryjanie to stali bywalcy Geco Areny. *Niemały udział mieli w tym Krzysztof i Paweł Zabłotni, którzy sami uprawiają wspinaczkę i na dodatek upowszechniają tę formę aktywności wśród rodziny i znajomych* - mówi właściciel.

Na ściankę najlepiej przyjechać w towarzystwie, bo jedna osoba się wspina, druga asekuruje. Nie bójmy się, że nie znamy się na tym, zanim zaczniemy, fachowiec nas przeszkoli i dopilnuje, czy wszystko przebiega należycie. Można zapisać się również na sekcję. Są trzy: dla dzieci, dla dorosłych początkujących i dla zaawansowanych. Warto przyjechać w czwartki, nie dość, że są zniżki dla studentów, to jeszcze atrakcja w postaci slackline, czyli chodzenia po linie zawieszonej nad ziemią. I tego warto spróbować, by poćwiczyć równowagę, jeśli nie ducha, to przynajmniej ciała.

Co daje wspinaczka? Tomasz Warawko twierdzi, że wiele. On sam zaczął się wspinać, kiedy bolał go kręgosłup. Po kilku takich ćwiczeniach dolegliwości minęły. Wspinaczka rozwija wiele partii mięśni, wzmacnia nogi i ramiona a ponadto uczy koordynacji. No i nie można zapomnieć, że daje zastrzyk adrenaliny oraz poczucie zwycięstwa, gdy osiąga się szczyty.

Iwona Pawłowska

Renowatorzy

Już kiedyś pisałam, że Dobków to miejsce wyjątkowe, skupia w sobie ludzi nietuzinkowych, utalentowanych, obdarzonych pasją. Na dodatek potrafią zarazić swoim entuzjazmem innych.

Tym razem droga zawiodła mnie do małego domku przy skraju szosy. Mieszkają tu Irena Tchorowska i Zinoviy Harbar, konserwatorzy zabytków. Dom jest jednocześnie ich pracownią. Obszerne i widne pomieszczenie na parterze to pole ich twórczego działania. Pracownia przypomina atelier malarza, rzeźbiarza i sztukatora jednocześnie. Na środku leży jedno ze skrzydeł ołtarzowego tryptyku, który właśnie podlega renowacji. Zinoviy uzupełnia zaprawą gipsowo-klejową ornamenty w ramie. Musi dopasować wzór do oryginalnego a potem pędzlem z wiewiórczego włosia nanieść złoto płatkowe. Jeszcze dużo pracy przed nim. Na razie trudno sobie wyobrazić efekt końcowy, patrząc na zdewastowane skrzydło ołtarza. Pod ścianą czekają już kolejne detale czekające na uleczenie ze szkodliwej działalności czasu lub ludzi. Zinoviy pracuje w drewnie, kamieniu, czasem też dorabia metalowe zamki czy okucia.

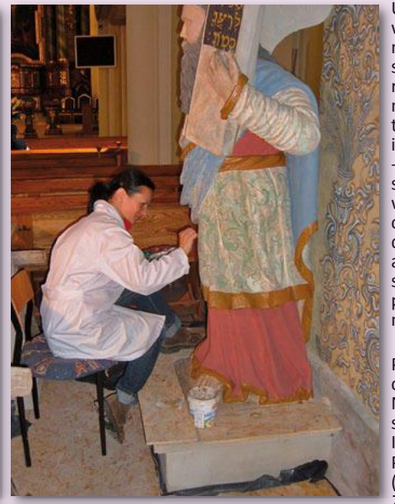

Pracy teraz jest dość, ale nie zawsze to tak wygląda. Uprawiający wolny zawód muszą liczyć się z tym, że raz są tłuste miesiące czy tygodnie a innym razem - chude. Brak stabilności w tym fachu nieco doskwiera, ale z drugiej strony daje poczucie wolności.

Zinoviy do Polski przyjechał za pracą. Na Ukrainie skończył Instytut Sztuk Pięknych, (wówczas ZSRR). Namówił go kolega, tłumaczył niezdecydowanemu, że w Polsce jest ładnie, ciekawie. Zinoviy nie był zachwycony perspektywą pozostawienia kraju, tym bardziej, że akurat dostał jakieś zlecenie. Jednak perswazja kolegi była na tyle skuteczna, że spakował manatki i wyruszył na Zachód. Pierwsza myśl – *pojadę na miesiąc i wrócę do domu*. Najpierw obawiał się, że będzie pracować przy freskach – a nie bardzo za tym przepada: *jest jak na budowie, kurz, rusztowani* - mówi. Zaraz potem okazało się, że czeka na niego prospekt organowy w Krzeszowie. Takie zadania Zinoviy uwielbia. Praca w drewnie jest dla niego najciekawsza. Prospekt zajął mu cały rok, w tym czasie mieszkał w domku konserwatorskim przy klasztorze krzeszowskim. Tam spotkał Irenę.

Irena pochodzi ze Świerzawy. Skończyła Szkołę Rzemiosła Artystycznego w Cieplicach. Skromnie twierdzi, że to nie jest wykształcenie, jakie by ją satysfakcjonowało, ale stoi za nią doświadczenie i talent. Fachu nabywa się pracując, cieszy się, że trafiła pod skrzydła Marii Lelek-Pietrzak. Ona nauczyła ją rzetelnie wykonywania zawodu a i teraz wspomaga Irenę, dostarczając kolejne zlecenia. Dzięki temu mogą funkcjonować bez większej troski o jutro. Choć bywało też tak, że musieli – co za paradoks - za chlebem jechać na Wschód, do samej Moskwy. Mimo wszystko Zinoviy nie żałuje przyjazdu do Polski. W końcu tu spotkał Irenę.

Małżeństwo ma też udział w odnawianiu zabytków złotoryjskich. W Złotoryi mieli do wykonanie duże zadanie. Konserwowali kościół pod wezwaniem NNMP. Tam pracowali między innymi nad amboną. Wykonując zlecone prace, przez przypadek odkryli datę wykonania(?) ambony i inicjały, które pewnie zostawił sam autor. Nad amboną pracowali ponad 2 miesiące. Najpierw dorobili uszkodzone elementy drewniane na górze. Potem konserwowali postaci apostołów wykonane w kamieniu. Poza amboną zajęli się też piaskowcowymi cenotafami (symboliczne epitafia) znajdującymi się w prezbiterium. Irena pracowała też nad odnowieniem herbu Piastów w kluczu sklepienia. Nie była to łatwe, bo nie dość że pracowała na rusztowaniu, to jeszcze na postawionym tam stołku, bo do sklepienia brakowało nieco centymetrów. Ale nie była to największa wysokość, na jakiej się wznosiła, jeszcze wyżej było w Krzeszowie, gdzie odnawiała freski.

Pracując z zabytkami czują dużą odpowiedzialność. Mają świadomość, że każda rzecz jest cenna i trzeba tak nad nią działać, by jak najmniej zaszkodzić, a przecież wypadki się zdarzają. Czasem przez zastosowanie złego materiału czy preparatu, trzeba poprawiać to, co już wydawało się wykończone. A to farba odpada, a to coś się łuszczy…Nie było jednak zlecenia, które przerosłoby ich możliwości. Obecny wygląd bazyliki w Krzeszowie o tym świadczy, choć Zinoviy uważa, że jest tam teraz zbyt ładnie, wręcz za słodko. Oboje są zwolennikami konserwacji zachowawczej, czyli takiej by zabytek nie ulegał destrukcji, ale zachował klimat starości.

Czym mają ochotę się zająć najbardziej? Zinoviy mówi, że tym, czego w danej chwili nie robi. *Jak cały czas pracujesz w drewnie, to nachodzi cię ochota, by coś pomalować* - mówi. Każda odmiana jest zdrowa i zapobiega znużeniu pracą.

Mieszkają w Dobkowie, bo tu był do wynajęcia dom. Urządzili go z artystyczną fantazją. W salonie stoją malowane stare szafy, oczywiście odnowione przez gospodarzy. Z nieużywanej maglownicy, zrobili biurko. Półki zdobią lichtarze a ściany - stare obrazki. Kiedyś więcej kupowali staroci, ale teraz się boją, że kiedy przyjdzie im się przeprowadzać, to będzie kłopot. Można powiedzieć, że zaszyli się na końcu świata, z dala od dużych miast, gdzie pewnie artyści maja lżej, lepiej. Ale im to nie przeszkadza, jak sama Irena mówi – *nasza praca polega na tym, że jesteśmy przez kilkanaście godzin skupienie na detalach, na pracy, to rodzaj izolacji od świata. Dlatego też trochę zdziczeliśmy i to miejsce, gdzie cisza, spokój, natura blisko, jest dla nas najlepsze.*

Ta cisza i kojąca atmosfera to chyba przyczyny, dla których Dobków przyciąga ludzi o wyjątkowej wrażliwości. Dlatego mam wrażenie, że to nie jest ostatnia moja dziennikarska wizyta w tej wsi.

Iwona Pawłowska

W galerii Pani Zimy

W czwartek 16 stycznia w siedzibie Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej odbył się wernisaż wystawy prac dzieci z Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Złotoryi „W galerii Pani Zimy". Nasycona zimowymi krajobrazami i magią świąt Bożego Narodzenia składa się z kilkudziesięciu prac.

Ducha wystawy najlepiej oddał Paweł Gorczyca - dyrektor Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Złotoryi : „ *Oddajemy Państwu to, co mamy najcenniejsze w Ośrodku - prace naszych wychowanków. Bez trudu dostrzeżecie w nich Państwo nie tylko piękno i bogactwo wewnętrzne autorów, ale również efekt twórczego zmagania z własnymi ograniczeniami. Jesteśmy dumni z efektów pracy naszych artystów, dlatego staramy się eksponować ich prace praktycznie wszędzie od targowiska miejskiego, przez instytucje kultury po galerie handlowe.*

W spotkaniu, poza rodzicami i przyjaciółmi małych artystów, udział wzięli również wicestarosta Powiatu Złotoryjskiego Wanda Grabos oraz dyrektor Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej, Kazimierz Karst.

Dzieła podopiecznych OSZW są wykonane różnymi technikami, od szkiców ołówkiem do bardzo kolorowych pastelowych rysunków, kolaży i prac przestrzennych. Dziecięca twórczość jest tak różnorodna i barwna jak wnętrze i charakter każdej istoty ludzkiej. Dzieci jako baczni obserwatorzy włożyły w swoje małe dzieła własne spostrzeganie świata. Pokazały swoją wrażliwość i drzemiące w nich talenty. Nam, dorosłym obserwatorom, widzom otworzyły bramę do wyjątkowego świata dziecięcych przeżyć i wyobraźni. Wszystkie prace, które możemy oglądać na wystawie, zostały wykonane na zajęciach plastycznych, technicznych , atrteterapeutycznych.

Podczas wernisażu odbyły się również warsztaty plastyczne, w trakcie których podopieczni OSZW pokazali swoje umiejętności artystyczne. Zajęcia cieszyły się dużym zaangażowaniem a podczas ich trwania powstała piękna praca plastyczna.

Spora ilość uczestników świadczy o dużym zaangażowaniu dzieci oraz młodzieży w tego typu przedsięwzięcia. Z wernisażu nikt nie uciekł, najwyżej oddalił sie powolnym krokiem w zamyśleniu nasycony ekspresyjnymi obrazami i pozytywnymi emocjami.

Wystawa będzie czynna do 28 lutego w Siedzibie TMZZ ul. Szkolna 1.

Justyna Kościuk

Kronika

17.12. Uroczyste podsumowanie sezonu 2013 Klubu Sportowego OLAWS Złotoryja. Sezon ten, oprócz udziału w biegach, obfitował w starty w zawodach triathlonowych, kolarskich i nordic walking.

17.12. Spotkanie wigilijne pn. „Idą święta" dla złotoryjskich seniorów w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Złotoryi.

17.12. W Świerzawie odbył się Kiermasz Bożonarodzeniowy, na którym swoje wyroby oferowali uczestnicy Warsztatu Terapii Zajęciowej oraz przedstawicielki biblioteki i Wiejskiego Domu Kultury w Lubiechowej.

18.12. Złotoryjscy gimnazjaliści wzięli udział w programie: „Gotowi do drogi", który poprowadził zastępca naczelnika OSP w Brochocinie Tomasz Stanowski razem z ratownikami medycznymi.

18.12. Złotoryjska Rada Miasta uchwaliła budżet na 2014 rok. Dochody budżetu wyniosą ponad 52 mln zł, a nadwyżka budżetowa -1,4 mln zł.

18.12. Na zaproszenie przewodniczącego Rady Miejskiej w Urzędzie Miejskim spotkali się przedstawiciele stowarzyszeń i grup zawodowych, aby podzielić się opłatkiem.

19.12. W Zespole Szkół Zawodowych w Złotoryi odbyła się konferencja „Erasmus + młodzież = praca", której gościem był europoseł Piotr Borys.

19.12. Ośrodek Szkolno-Wychowawczy w Złotoryi świętował 10-lecie działalności szkolnego koła Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Podczas uroczystości prezes TPD w Legnicy Kazimierz Pleśniak udekorował pięciu nauczycieli odznaką „Przyjaciel dziecka" oraz wręczył statuetkę „Serce za serce" przewodniczącej szkolnego koła TPD Elżbiecie Biedak.

19.12. Szkoła Podstawowa i Rada Sołecka w Rokitnicy oraz Urząd i Rada Gminy Złotoryja zorganizowali spotkanie wigilijne.

19.12. W Złotoryi odbyło się spotkanie opłatkowe biskupa legnickiego Stefana Cichego z prezydentami, burmistrzami, wójtami, starostami i przewodniczącymi rad gminnych z terenu diecezji legnickiej.

20.12. Po raz trzeci Biblioteka Pedagogiczna w Złotoryi zorganizowała Powiatowy Konkurs na Prezentację Książki dla uczniów klas IV-VI szkół podstawowych pod hasłem „Czytanie jak fruwanie".

20.12. Harcerze 32 Drużyny „Knieja" odwiedzili świerzawski ratusz i przekazali Betlejemskie Światełko Pokoju .

21.12. W Krakowie odbyły się XII Mistrzostwa Polski w Yoyoingu (PYYN Polish Yoyo Nationals 2013), w których nasze miasto reprezentowali: Bartek Romaniak, Michał Zakrzewski oraz Maciej Cwynar. Michał Zakrzewski został Mistrzem Polski w kategorii 1A PRO , Maciej Cwynar został mistrzem Polski w kategorii 5A a Bartek Romaniak zajął 9 miejsce w kategorii 1A PRO.

21-22.12. I Jarmark Bożonarodzeniowy w Skansenie Górniczo-Hutniczym w Leszczynie.

23.12. Podsumowanie łuczniczego sezonu Gminnego Ludowego Klubu Sportowego „Unia" Pielgrzymka w sali GOKSiR-u w Pielgrzymce.

23.12. „Jeden dzień z adwentu" – pod takim hasłem przebiegała kolejna wizyta 12 uczniów Zespołu Szkół Zawodowych w partnerskiej szkole w Bautzen.

24.12. Złotoryjanie spotkali się na kolejnej 460. (a w historii powojennej 18.) Wigilii w Rynku.

28.12. II Świąteczno-Noworoczne Śpiewanie w Lubiechowej.

01-03.01. Policja, straż pożarna oraz rzesze złotoryjscy wolontariuszy poszukiwali nastolatki, która po Sylwestrze nie wróciła do domu. Została odnaleziona cała i zdrowa w jednym z domów na terenie miasta.

03.01. W nr 13 kwartalnika Fundacji Rozwoju Systemu Edukacji „Europa dla aktywnych", z okazji piętnastu lat trwania programu Leonardo da Vinci, ukazał się wywiad z Wojciechem Szandułą (kierownikiem Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Złotoryi).

04.01. Koncert kolęd w kościele św. Józefa w Świerzawie przygotowany przez lokalnych duszpasterzy i kleryka Mateusza Maleńczuka.

05.01. Noworoczny Koncert Kolęd w wykonaniu chóru Bacalarus w kościele p.w. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Złotoryi. W murach świątyni zabrzmiały kolędy polskie, ukraińskie: „Janholy w nebi" i „Nowa radist stala" i rumuńska „La Vitleem".

08.01. Maraton pisania listów w Zespole Szkół Zawodowych w Złotoryi, zainicjowany przez Amnesty International.

10.01. Posiedzenie Komisji Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego w Starostwie Powiatowym w Złotoryi z udziałem przedstawicieli Dolnośląskiej Służby Dróg i Kolei we Wrocławiu.

12.01. Wielka Orkiestra Pomocy Świątecznej zagrała w powiecie złotoryjskim, szczególnie donośnie grała w Złotoryi i Pielgrzymce.

15.01. W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Złotoryi rozpoczęła cykl spotkań literacko-plastycznych pn. „Popołudnia z baśnią".

16.01. Wernisaż prac uczniów Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Złotoryi pt. „W galerii Pani Zimy" w siedzibie Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. Współorganizatorem wystawy była Biblioteka Pedagogiczna w Złotoryi. (TMZZ).

Opracowała Krystyna Zalewska

Pamiątki rodzinne

Nasi wierni Czytelnicy na pewno zauważyli, że na łamach „Echa Złotoryi" ukazują się od jakiegoś czasu krótkie opowieści o pamiątkach rodzinnych, których autorami są uczniowie złotoryjskiego Gimnazjum przy ul. Wilczej. Projekt, którego zadaniem jest zainteresowanie uczniów genealogią poprzez „punkt zaczepienia", jakim są przedmioty związane z członkami rodziny, jest zawsze godny pochwały i rozpowszechnienia. Podobno jesteśmy „ulepieni" z naszych przodków, po jednym mamy kolor włosów i oczu, po innym - wzrost i wcięcie w talii, jeszcze po innym - skłonność do tycia lub talenty oratorskie, muzyczne, pisarskie. Warto zatem wiedzieć jak najwięcej o tych, którzy w różnych „cząstkach" wciąż żyją w nas, a my dzięki nim.

A oto, co o projekcie mówi jego pomysłodawczyni – Anna Markiewicz.

Joanna Sosa-Misiak: Jest Pani nauczycielką języka polskiego z wieloletnim stażem. W okresie pracy zawodowej była Pani świadkiem reform w oświacie i zmian programowych. Czy przed laty program z języka polskiego obejmował tematykę genealogiczną? Czy coś się zmieniło w tym zakresie?

Anna Markiewicz: To, że interesuje nas przeszłość naszych przodków, nie ma chyba większego związku z reformami oświatowymi. Nakazy programowe nic w tym względzie nie zdziałają, jeśli nie ma w rodzinach więzi międzypokoleniowej. Uważam, że to rodzina jest najlepszym strażnikiem kształcenia i budowania takiej tradycji. Myślę, że wynika to również z tego, że od kilkunastu lat wzrosła obywatelska świadomość własnej odrębności i tożsamości. Nie jesteśmy już masą społeczną, lecz bardziej narodem.

A przecież naród tracąc pamięć, traci życie. Kto nie zna swych korzeni, nie może tworzyć przyszłości. Myślę, że stąd bierze się tropienie rodzinnych pamiątek, poszukiwanie przodków, poznawanie krainy lat dziecinnych - jak mówi poeta. Jeśli nauczyciel-humanista ma w sobie tę świadomość i poczucie odpowiedzialności, to zachęca uczniów do poznawania historii swoich przodków nie tylko z podręcznika.

Skąd wziął się pomysł na opisywanie pamiątek rodzinnych?

Wszystko zaczęło się od wiersza Wisławy Szymborskiej pt. ,,Muzeum", w którym odnajdujemy gorzką, ale jakże prawdziwą refleksję, że to nie człowiek, a przedmioty ,,triumfują" w czasie. Uczniowie zainspirowani tekstem noblistki postanowili ,,wytropić" historię swoich rodzinnych pamiątek. Aby wzbudzić ich zainteresowanie tematem, pokazałam im lniany ręcznik utkany przez moją babcię na warsztacie tkackim, pięknie haftowany, z ręcznie wydzierganą koronką. Opowiedziałam im historię tej mojej rodzinnej pamiątki i to stało się przysłowiowym dolaniem oliwy do ognia. Taki był początek innowacyjnego projektu edukacyjno-wychowawczego.

Czy dzieci chętnie podchwyciły pomysł, czy może trzeba było je namawiać?

Uczniowie chętnie podchwycili pomysł. Choć wymagało to od nich dużego osobistego zaangażowania, to projekt wzbudził zainteresowanie. To było coś, czego nie można było odnaleźć w Internecie. Trzeba było poszukiwać informacji u członków rodziny: babci dziadka, cioci, rodziców, a to przynosiło wiele satysfakcji, bo okazywało się, że w albumie rodzinnym jest zdjęcie, na którym pradziadek jako ministrant stoi na stopniach ołtarza obok Karola Wojtyły, późniejszego papieża. Ktoś inny usłyszał historię filiżanki lub rodzinnego klejnotu czy pocisku, będącego dowodem bohaterstwa dziadka, który w czasie II wojny światowej zdobywał Berlin. W tych pamiątkach rodzinnych kryły się tajemnice, które uczniowie z niedowierzaniem i wielkimi emocjami odkrywali. Ukoronowaniem ich pracy badawczej było ukazanie się szkolnego wydawnictwa zatytułowanego ,,Na tropach pamiątki rodzinnej".

Co o pomyśle publikacji historii rodzinnych oraz związanych z nimi pamiątek sądzą rodzice i dziadkowie? Jak teraz odbierają rozpowszechnienie rodzinnych opowieści w „Echu Złotoryi" i szkolnym wydawnictwie? Czy docierają do Pani jakieś głosy?

Wielu rodziców bardzo pozytywnie oceniło nasza szkolną publikację. Jedna z matek osobiście podziękowała mi za spisanie historii pamiątek rodzinnych i wydanie broszurki w takiej formie. Ponadto podobało się to, że dzięki temu projektowi mogli zaistnieć uczniowie, którzy na co dzień nie odnoszą wielkich sukcesów w nauce. Publikacja w „Echu Złotoryi" to dla wielu wielkie wyróżnienie i satysfakcja.

Czy realizacja tego pomysłu zapoczątkowała poważniejsze zainteresowanie młodzieży korzeniami, tj. losami członków rodziny i pamiątkami z przeszłości, czy może po zamknięciu tematu żyją dniem dzisiejszym i przyszłością?

Trudno mi to ocenić. Przecież przywilejem młodości jest życie chwilą. Ale myślę, że cenne jest to, że w naszym ,,zapędzonym" świecie rozmowa wnuka z babcią czy dziadkiem na temat pamiątek rodzinnych stworzyła okazję do budowania więzi międzypokoleniowej. Ponadto uczniowie mogli poznawać wielką narodową historię, sięgając do korzeni najbliższych ich sercu – do rodzinnych pamiątek. Najlepszą odpowiedzią na wyżej postawione pytanie niech będą słowa jednego z autorów spisanej historii: ,,*Pomimo tego, że nie miałem okazji poznać dziadka, ponieważ urodziłem się siedem lat po jego śmierci, zegarek, który po nim pozostał, jest dla mnie równie ważną pamiątką, co dla pozostałych członków rodziny, pamiętających czas, kiedy połyskiwał na jego nadgarstku".*

Czy zainteresowanie uczniów tematyką genealogiczną zainspirowało Panią do realizacji nowego projektu?

Tak. W związku z przypadającą w tym roku setną rocznicą wybuchu I wojny światowej zamierzam zachęcić uczniów do poznania historii udziału ich przodków w tym historycznym, ale jakże tragicznym wydarzeniu. Dodatkową motywacją do podjęcia tego tematu są dla mnie osobiste pamiątki związane z losami i śmiercią mojego pradziadka Antoniego, który zginął przy rozbrajaniu Niemców w miejscowości Ryki dnia 11 listopada 1918 roku, walcząc jako żołnierz Polskiej Organizacji Wojskowej utworzonej przez Józefa Piłsudskiego. Mam nadzieję, że uczniowie podejmą się tego trudnego, ale jakże pasjonującego zadania. Moim zamiarem jest stworzenie okolicznościowego wydawnictwa, które utrwali historię udziału naszych pradziadów w I wojnie światowej.

Dziękuję za rozmowę. Życzę odzewu przekraczającego najśmielsze oczekiwania. I już teraz oferuję łamy naszego miesięcznika dla kilku wybranych historii. Jakby nie było, jest to drążenie historii rodzinnych, które mogą okazać się w przyszłości zalążkiem do późniejszych poważnych poszukiwań genealogicznych. Dlatego apeluję do Czytelników, by pielęgnowali rodzinne historie, przechowywali dokumenty, fotografie i pamiątki po przodkach. W każdej rodzinie jest bowiem ktoś, kto bardziej od innych ma potrzebę pamiętania o nich i opisywania ich losów.

Joanna Sosa-Misiak

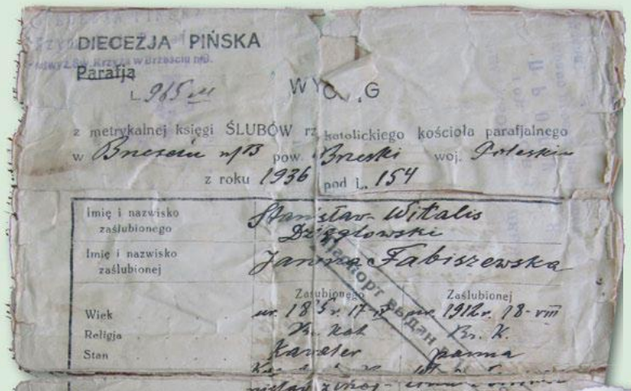

Akt ślubu Witalisa i Janiny

W odnalezieniu pamiątki rodzinnej pomógł mi mój dziadek. Po długich poszukiwaniach znalazł akt ślubu swoich rodziców – Stanisława Witalisa Dzięglowskiego i Janiny Fabiszewskiej. Jest to jedyna pamiątka wraz ze zdjęciami, która pozostała po moich pradziadkach i dlatego dziadek prosił, bym na nią uważał. Akt bardzo pożółkł, gdyż ma już 77 lat. Na odwrocie jest podklejony taśmą, ponieważ w ten sposób został zabezpieczony przed dalszym zniszczeniem. Dziadek opowiedział mi historię swoich rodziców, a jest ona następująca.

Pradziadkowie pobrali się 26 grudnia 1936 roku w Katolickim Kościele Parafialnym nad Bugiem, w województwie poleskim (dzisiaj podlaskim). Prababcia pracowała jako pielęgniarka w Twierdzy Brzeskiej, a pradziadek był lekarzem wojskowym. Tam się poznali i postanowili wziąć ślub, ale najpierw pradziadek musiał uzyskać zgodę dowództwa na zawarcie małżeństwa. Po jej zdobyciu, moi pradziadkowie już jako małżeństwo doczekali wybuchu wojny. Dnia 17 września 1939 roku twierdzę przejęła armia radziecka, która wszystkich mężczyzn transportowała, ale dziadek nie pamięta, dokąd. Pradziadkowi udało się uciec z rąk Rosjan i wracał do Brześcia piechotą przez około półtora miesiąca. Po powrocie ukrywali się z prababcią do czasu ataku Niemców na Rosję i razem doczekali wyzwolenia w 1944 roku. Przetrwali okupację na tych samych stanowiskach pracy. W 1947 roku, już po wojnie, Brześć został przejęty przez Rosjan, ale pradziadkom udało się uciec na Ziemie Odzyskane. Dotarli do miejscowości Lubawka, tam spędzili resztę swojego życia. Prababcia pracowała dalej jako pielęgniarka, a pradziadek jako lekarz pediatra, ponieważ nie był mile widziany na tamtych ziemiach i społeczeństwo pozwoliło mu tylko na wykonywanie pracy w tej specjalności lekarskiej.

To cała historia, którą zapamiętał mój dziadek z opowiadań swojego ojca, a mego pradziadka. Bardzo mnie ona zaciekawiła i gdy jej słuchałem, uświadomiłem sobie, że w tamtych czasach nie było tak łatwo, jak dziś. Historia pamiątki rodzinnej opowiedziana mi przez mojego dziadka utkwiła mi w pamięci na długie lata.

Jakub Dzięglowski

Smaki znad Skory i Kaczawy

Chrupiący, orzechowy tort mojej mamy

ciasto: 25 dag płynnego miodu, 25 dag cukru, 60 dag mąki pszennej, 20 dag mielonych orzechów laskowych, 2 całe jaja, 2 żółtka, pół łyżeczki sody, wódka i esencja herbaciana do nasączania (dwa razy więcej esencji niż wódki)
masa: 30 dag masła, 10 dag mielonych migdałów, 10 dag mielonych orzechów laskowych, 4 łyżki cukru pudru, 3 żółtka, pół szklanki tłustej kwaśnej śmietany, pół laski wanilii
Sypkie składniki ciasta mieszam w misce, dodaję jajka i żółtka, zagniatam ciasto (składniki nie dadzą się dokładnie skleić – formę trzeba wylepić, ciasta nie da się wałkować). Dzielę je na 5 części i piekę w wysmarowanej masłem tortownicy 5 osobnych cienkich placków (ok. 20 minut w temperaturze ok. 175 stopni). Po upieczeniu są dosyć twarde i kruche – trzeba uważać, żeby się nie połamały.

Żółtka ucieram z cukrem, ciągle ucierając dodaję po trochu masło i miąższ wanilii a potem orzechy i migdały. Dolewam śmietanę i dokładnie mieszam. Placki nasączam dokładnie mieszaniną wódki i esencji i przekładam masą. Polewam lukrem lub polewą czekoladową i dekoruję pozostałymi orzechami lub migdałami.

Julia Obuch

Oboje

Pan i pani – oboje przybyli na zebranie. Właśnie, gdy pan i pani. Gdyby dwóch panów, znaczyłoby, że przybyli obaj. Prócz tych państwa (nie – *tego państwa*) przybyły dwie panie, czyli obie (panie/dziewczynki).

Trudno się odmienia w mówionej polszczyźnie ten piękny liczebnik. A przecież tak łatwo przenieść jego fleksję na liczebnik *dwa: dwaj panowie, dwie panie, dwoje dzieci, dwoje rodziców.*

Żartuję, oczywiście, ponieważ i z tym liczebnikiem miewamy kłopot. A kiedy trzeba odmienić go w innych przypadkach niż mianownik?

Kogo brakuje? Obojga (gdy razem - pani i pana, rodziców oraz dzieci), obu – gdy dwóch panów, obu – gdy nie ma dwóch pań.

Komu się przyglądam? Obojgu (gdy *państwu* oraz *dzieciom*), obu panom, obu paniom.

Kogo witam? Oboje (państwa i dzieci), obie panie, obu panów. Z kim się witamy? Z obojgiem państwa, dzieci, z obiema paniami, z oboma panami.

O kim rozmawiamy? O obojgu (państwa i dzieci), o obu paniach, o obu panach.

Gdy wołamy: o, wy oboje moi kochani rodzice, o, wy obie moje drogie, o, wy obaj moi drodzy.

Dlaczego ględzę na ten temat? Ponieważ coraz częściej słyszę (nawet w mediach) konstrukcje z błędem: Np. prowadzący program zwraca się do młodych artystów: Oboje jesteście świetni..., gdy na scenie stoi dwóch mężczyzn. Obaj mieli dziwne miny. Oj, wiem, że pan prowadzący się po prostu pomylił, a ględzę nie bez przyczyny... Odmiana liczebników zbiorowych wcale nie jest łatwa, choć i tak została mocno uproszczona. Dawno temu trzeba było odmieniać wszystkie człony liczebnika zbiorowego, nawet gdy dotyczył on trzystu trzydziestu dwojga dzieci.

A przy okazji zapytam Państwa o datę. Dziś jest dwudziesty stycznia dwa tysiące czternastego roku, nie zaś *dwudziesty styczeń dwutysięcznego czternastego roku*

Jolanta Zarębska

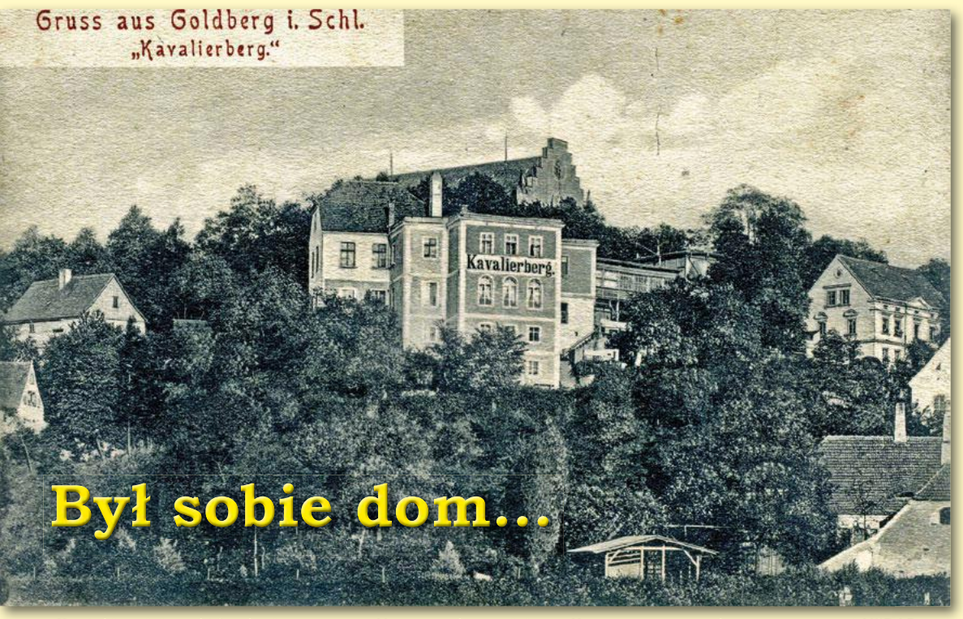

Był sobie dom...

Są takie miejsca, których nie ocaliła miotła historii, ale które wciąż głęboko istnieją w ludzkiej pamięci. Dzięki zamkniętym powiekom i przywołanym obrazom przenoszą się w czasie, by jeszcze raz zobaczyć siebie ze wstążkami we włosach, w kusym dziecięcym ubranku w miejscu, które wywołuje wzruszenie, przypomina ludzi, zdarzenia, smaki i zapachy. Takim właśnie miejscem jest nieistniejący już dom przy ul. Chrobrego, o którym dzisiaj wiedzą już tylko jego dawni mieszkańcy i kilku kolekcjonerów pocztówek.

Nie posiadamy informacji o czasie powstania tego budynku; w datowaniu pomocne są jedynie stare pocztówki, na których widnieje w mniejszym lub większym zbliżeniu jego zarys. Najstarsza pocztówka (widok 1), na której budynek przedstawia się najokazalej, datowana jestna 1902 r. Budynek był pod wieloma względami nietypowy i owa nietypowość zasługuje na przypomnienie. Spoglądającemu na fotografię na pewno wyda się, że patrzy na dwa różne domy usytuowane blisko siebie. Otóż nie. Te dwa całkowicie odmienne architektonicznie budynki tworzyły całość – ze wspólnymi korytarzami, strychem i pomieszczeniami, które po wojnie – dzięki przepierzeniom przerobiono na mieszkania. Frontowa część budynku usytuowana na skarpie ma geometryczne kształty, płaski dach i głębokie załamania po obu stronach, część wychylona na lewo przedstawia charakterystyczną ówczesną zabudowę mieszkalną ze spadzistym dachem, pod którym mieścił się strych (idealny dla zamieszkałych tam gołębi). Powyżej widać szczyt kościoła św. Mikołaja, znajdującego się na wzniesieniu, czyli na terenie cmentarza. Dom otaczała gęsto zieleń, z czasem nieco kurczyła się na skutek zasiedlania i zabudowywania tej peryferyjnej części miasta.

Nazwa nadana miejscu - **Kavalierberg**, być może nawiązuje do jeleniogórskiego Wzgórza Kawalerów, jeśli tak – sięga czasów wojny o sukcesję bawarską, a dokładniej roku 1778, w którym generał Faurat, w miejscu rozebranej szubienicy wzniósł na szczycie basteję z nadszańcem nazwaną „Kawalerem". Mimo powojennego odgórnego nakazu pozbywania się wszystkiego, co nosiło ślady niemieckości, napis na budynku zachował się właściwie do końca.

Na jednej z fotografii widzimy, że po prawej stronie budynku, po prostej, ciągnie się drewniano-betonowa zabudowa, która kończy się tuż przy skarpie i wygląda niczym zawieszona w powietrzu. Druga fotografia, przedstawiająca część frontową, pokazuje jednak, że taras mocno osadzony jest na ziemi. Jest wyjątkowo ładny, z dekoracyjną ażurową balustradą i - jak większość tego typu konstrukcji – ozdobiony pnącą florą. Mógł to być bluszcz w swoich kwiatowych lub czerwonolistnych odmianach, mogła to być również szczelna osłona przed słońcem z popularnej wówczas winorośli. Praktycyzm i zdobnictwo w niemieckiej przestrzeni zawsze szły pod rękę z projektem. Z okien tarasu rozciągała się urokliwa panorama z widokiem na pola, lasy, ale i stację kolejową, czy fragment budynku kapeluszowni. Zapewne niejednemu czytelnikowi taras skojarzył się z poczekalnią jerzmanickiego dworca.

W budynku prawdopodobnie mieścił się hotel, w którym często bywali żołnierze stacjonującego w Złotoryi do 1918 r. batalionu piechoty. Jego wygląd, przylegający taras oraz rozmieszczenie pomieszczeń wewnątrz niejako potwierdzają te przypuszczenia. Wiadomo także (informacja pochodzi od przedwojennego mieszkańca), że do połowy lat 30. mieściła się w nim „gazownia z dużą salą i przylegającym ogrodem". Budynek zmienił gospodarza po wygranej NSDAP w 1933 r. (do której, niestety, mocno przyczynili się Goldbergerzy). Nowa wizja Niemiec pociągnęła za sobą powstanie nowych organizacji nadzorujących rozwój intelektualny i duchowy przyszłych budowniczych III Rzeszy. Powołano do życia nowe organizacje i przypisano im siedziby. Budynek przeszedł w ręce ówczesnych organizacji młodzieżowych - Jugenvolks (przewidzianego dla młodszej grupy wiekowej – od 10 do 14 lat) oraz Hitlerjugend, który stał się obowiązkową organizacją dla młodzieży w przedziale od 14 do 18 lat.

Po wojnie zlikwidowano miejscowy odział Hitlerjugend, a w budynku „na chwilę" zorganizowano szkołę dla niemieckich dzieci (w 1955 r. przeniesioną do ówczesnej siedziby SP1 przy ul. Konopnickiej), by następnie dom oddać w ręce stacjonujących w Złotoryi poborowych. Mieszkańcy okolicznych domów przy ulicy Cmentarnej pamiętają mecze siatkówki rozgrywane na placu musztrowym (dzisiaj zabudowanym garażami), a także występy ludowych zespołów dziewczęcych, pojawiających się tam z okazji świąt państwowych. Po żołnierzach zostało dużo ukrytej w ziemi amunicji, która stała się „atrakcją" dla poszukujących przygód chłopców z sąsiedztwa. W drugiej połowie lat 50. jeden z tkwiących w ziemi pocisków wybuchł pod beczką, w której wędziły się domowe wyroby pana Kornelaka.

Po żołnierzach do budynku „wprowadzili się" pracownicy kapeluszowni (Fabryki Wyrobów Filcowych). W 1946 r. zajęli jedno z pomieszczeń znajdujących się na pierwszej kondygnacji. O miejscu gromadzenia się pracowników w czasie wolnym informowała tablica „Świetlica Kapeluszy". Świetlicą zarządzała Zofia Waciak, pod jej kuratelą odbywały się zabawy dla pracowników i ich rodzin, spotkania mikołajkowe dla najmłodszych dzieci, zabawy sylwestrowe. Tu działał także amatorski zespół teatralny. W latach 50. świetlicę przeniesiono do centrum miasta (Rynek 50) pod zmienioną nazwą „Dom Robotnika". W 1956 r. nowa siedziba spłonęła.

Warto dodać także, że od 1945 r. do 1960 r. budynek przypisany był ulicy Gustawa Morcinka, natomiast w 1960 r., z okazji jubileuszu 750-lecia nadania praw miejskich miastu Uchwałą Miejskiej Rady Narodowej, ulicy nadano imię Bolesława Chrobrego.

Trzykondygnacyjny budynek usytuowany na tarasowo opadającym terenie miał trzy główne wejścia - każde znajdowało się z innej strony budynku i prowadziło na inny poziom. Oprócz tego wewnątrz znajdowała się klatka schodowa, która pozwalała poruszać się po wszystkich piętrach bez wychodzenia na zewnątrz. Powierzchnia każdego poziomu była inaczej rozplanowana i być może, że na potrzeby zwiększenia przestronności sal wykładowych i warsztatowych, dokonano architektonicznych przeróbek. W lewym załamaniu na całej wysokości pionów mieściła się klatka schodowa – być może było to wyjście ewakuacyjne, które po wojnie z powodu zniszczeń zamknięto, odcinając od części użytkowej.

W 1955 r. budynek przeznaczono na mieszkania i w krótkim czasie przydzielano „kawałek podłogi" kolejno napływającym nowym osadnikom. Na poziomie pierwszym z wejściem od strony placu (widok 3) znajdowały się 3 toalety, kuchnia wyłożona w całości glazurą oraz dwa duże pomieszczenia. I tak, po uprzednio zainstalowanych przepierzeniach, powstały 4 mieszkania, w których zamieszkały rodziny Szczepańskich z czwórką dzieci oraz Eugenii i Józefa Grockich, także z dziećmi. Niewielki pokoik zajęła pani Górka, po niej zamieszkał pan Bobowski. Pomieszczenie zakładowej świetlicy przypadło pięciu panienkom, które otrzymały nakaz pracy i zatrudniły się „w kapeluszach"; były to – Gabriela Lube (Sarapata), Henryka Staniszewska (Zawacka), Halina Czarniecka, Maryla Matuszewska (Sobkowiak), Maria Mudel (Lesiak).

Na pierwszej kondygnacji zamieszkała również rodzina Stachowskich z dwójką dzieci. Pan Stachowski - były zawodowy wojskowy, z podpowiedzi lekarzy zaopatrzył się w rower i dla podreperowania zdrowia zaczął objeżdżać okolicę. Z czasem nowe hobby pochłonęło go tak bardzo, że wczesną jesień swojego życia poświęcił na wyczynowo uprawiane kolarstwo.

Poziom drugi, będący wysoką na 4 m salą widowiskową ze sceną (do której prowadziły dwa wejścia - wewnętrzne, z klatki schodowej i zewnętrzne z podwórka) i przestronnymi wysokimi (zakończonymi półkolistymi wywietrznikami) oknami, w całości zajęła rodzina Lipińskich z trójką dzieci. Po rozebraniu sceny i zamontowaniu przepierzeń powstało ponad 60-metrowe mieszkanie ze spiżarką. Ponadto rodzina użytkowała bardzo duży pokój po drugiej stronie korytarza, który ze względu na brak pieca wykorzystywano jako podręczny warsztat ojca –„złotej rączki". Posadowiona na skarpie drewniana zabudowa, służąca podobno niemieckiej „ideologicznie zaangażowanej" młodzieży za stołówkę, po wojnie przedstawiała dość rozpaczliwy wygląd i została rozebrana. W jej miejsce wybudowano pomieszczenia, które służyły za składzik rzeczy zbędnych/niezbędnych do codziennego funkcjonowania. Znalazło się miejsce na klatki z królikami i chlewik dla dwóch paciuczków, które zabezpieczały rodzinę w mięso i wędliny.

Mieszkańcy wszystkich kondygnacji dość szybko zapełnili swoje nowe mieszkania – do niemieckiego mieszczańskiego stylu wprowadzając kresowy swojski klimat. Dzięki praktykowanej wymianie handlowej niemiecka secesja i art deco wymieszała się z rustykalnym stylem polskiej wschodniej wsi.

Z drugiego piętra „kręconymi" schodami schodziło się w dół do mieszkania zajmowanego przez autochtonów - małżeństwo Sperów. Poniżej ich mieszkania znajdowała się jeszcze komórka. Do głównego wejścia najniższego poziomu prowadziła ścieżka boczna i schody. Prawdopodobnie słaba znajomość języka polskiego powodowała, że rodzina ta nie utrzymywała zażyłych kontaktów z sąsiadami. Starsze małżeństwo wiodło spokojny i nieco tajemniczy tryb życia, rzadko opuszczając swoje małe, przytulne, podzielone stemplami od sufitu po podłogę, mieszkanie. I choć przytulne, to jednocześnie już w tamtym czasie z powodu uszkodzeń budynku – niebezpieczne dla lokatorów.

Z małżeństwem Sperów wiąże się drobne wydarzenie, które wspomina mała wówczas Danusia: *Pewnego razu pojawiły się u nich jakieś dzieci i wówczas pani poczęstowała również polskie dzieci tym, czym zajadali się jej goście - chlebem ze smalcem posypanym cukrem albo kromką chleba lekko polaną wodą i posypaną cukrem. W kresowej rodzinie nie jadało się tak. Taki specjał jadłam pierwszy raz w życiu i mile ten poczęstunek wspominam.*

„Kavalierberg" w dużej części zamieszkiwały dzieci. Właściwie cała okolica tętniła dziecięcym gwarem, bowiem okoliczne domy zasiedlone zostały przez wielodzietne rodziny Ditfeldów, Grubków, Walickich, Zapałów i innych. To właśnie dzieci z tego i z sąsiednich domów stały się bohaterami opowieści „Zabawy naszych rodziców", opublikowanej w zeszłorocznym numerze „Echa Złotoryi". Wzgórze Kawalerów było idealnym miejscem do zabawy – pełne murków i schodków, z rumowiskiem porośniętym dzikim bzem, sadem z gruszą, która zaspokajała głód, gdy zabawa toczyła się w najlepsze i nie chciało się wracać do domu, z placem do gier i wspólnych zabaw, dziko rosnącą roślinnością – idealną dla miłośników schowków i kryjówek. I te akacje!, po których zostały już tylko pieńki, a na których wyhuśtały się niemal do mdłości wszystkie dzieci z podwórka i okolicy oraz ich goście.

Dom - jako pierwsi – opuścili państwo Sperowie - prawdopodobnie dołączyli do wcześniej wysiedlonej rodziny w Niemczech. W 1965 r. na polecenie władz miejskich mieszkanie opuszczali kolejni lokatorzy. Powoli budynek, oficjalnie przeznaczony do nowego zasiedlenia, w rzeczywistości już wtedy zaplanowany do rozbiórki, pustoszał. Rodziny rozsypały się po całej Złotoryi. Od wszystkich pobrano kaucje w wysokości dwóch i pół ówczesnych pensji. Władze zastosowały brzydki fortel, który spustoszył portfele ostatnich mieszkańców „Kavalierberg", ale zasilił... No właśnie, czyje?

Ówczesne dzieci, dzisiaj już babcie i dziadkowie, zaglądają na swoja ulicę w towarzystwie dzieci i wnuków. Snują opowieści z tamtych dawno minionych lat: „Tutaj stał dom… , tutaj był plac…, tutaj się bawiliśmy…, tu rozcięłam nogę, a tu… itd."

Joanna Sosa-Misiak

Materiał ilustracyjny: pocztówki z kolekcji Roberta Goździka, fotografie z prywatnego archiwum Władysława Grockiego i autorki.

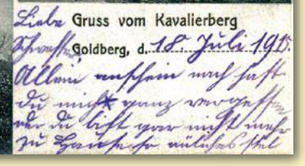

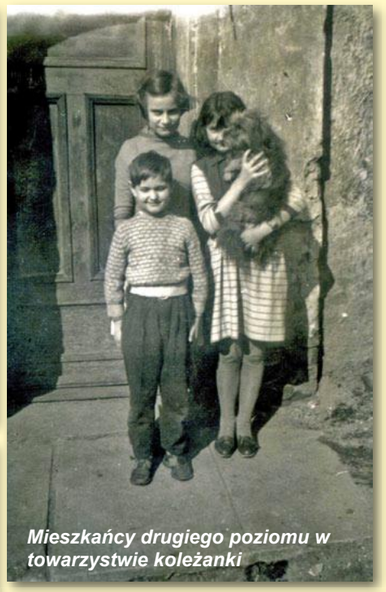

Mieszkańcy drugiego poziomu w towarzystwie koleżanki

Schody prowadzące do mieszkania Sperów od strony skarpy. Danusia z Brylantem.

Stryjek Józef, tato Karol i trzyletni Władek Grocki na placu przy ul. Chrobrego, 1957

Tak się bawią nasze klasy!

Każde pokolenie odejdzie w cień. A nasze? Nie! – chciało się 30 osobom śpiewać za zespołem Kombi podczas spotkań z okazji 40-lecia matury.

W 1973 r. maturę w złotoryjskim ogólniaku udało się zdać trzem klasom, tj. aż 85 osobom (kilka osób do dzisiaj nie może pojąć, jak się to stało). Nie wszystkie klasy pamiętają o regularniejszych spotkaniach, niektórzy obecności na zjazdach nie mogą pogodzić z oszałamiającą karierą, innym niestety nie pozwala na to stan zdrowia. Już co najmniej dwie osoby spotykają się na co dzień na niebiańskich imprezach.

„40”-tki nie mogli przegapić absolwenci klas A i C. Nieco liczniejsza gromada z IV c (osiemnaście osób), rozgrzana kilkoma już spotkaniami, wybrała dwudniową zabawę w gospodarstwie agroturystycznym w Lubiechowej, nieco mniejsza trzódka z IV a (osób jedenaście), słabiej zaprawiona w jubileuszowych bojach, spotkała się w Złotoryi oraz w „Złotym Lesie”. IV c było nieco łatwiej, bo aż osiemnaście mieszka wciąż w Złotoryi, z IV a - tylko sześć.

Jak daleko nie sięgałaby nasza absolwencka pamięć, nic tak nie cieszy jak obecność naszych kochanych i niezwykłych wychowawców. Stateczne panie absolwentki nie mogą za każdym razem pojąć, dlaczego profesor Bogdana Chrzanowska wygląda tak, jak w latach 70. XX w., a w większości już łysi i siwi panowie zazdroszczą profesorowi Czesławowi Rydzikowi, że te przypadłości są mu zupełnie obce. Nasi wychowawcy wciąż tacy kulturalni, skromni i delikatni, jednym słowem – niedoścignieni!

Znów odżyły wspomnienia. Gromadce z IV a przyszła ochota na zwiedzenie swojej starej budy, w rezultacie wydało im się, że są młodsi niż „stara” IV c, która tym razem nie chciała powtarzać oglądania szkolnych murów. „A” cieszyła się obecnością Danusi, mieszkającej w Stanach Zjednoczonych, która przywiozła pozdrowienia od samego Baracka Obamy (obiecał nawet, jak to polityk, że załatwi dla nas większe emerytury, renty i zasiłki). Przybyło nam nieco wnuków. Z drugiej strony, stateczni małżonkowie dziwili się w skrytości ducha odwadze swoich żon, które pozwoliły im wziąć udział w spotkaniu, wiedząc, że niektóre nasze koleżanki wciąż są „do wzięcia”.

Niżej podpisani przedstawiciele obu bawiących się stron mieli powody, by czekać aż do tej pory z niniejszą informacją (spotkania odbyły się we wrześniu 2013) – nie chodziło o pielęgnowanie nadziei na artykuł, ile pamięć o przypadającej w bieżącym roku sześćdziesiątce w kalendarzu. Będzie ona kolejną znakomitą okazją na spotkanie.

Zdzisława Feja (bardziej znana jako Zdzisia Ałkowska)
Roman Gorzkowski (bardziej znany jako ..., szkoda gadać!)

21 stycznia w samo południe zebrała się Kapituła Wyborów Człowieka Ziemi Złotoryjskiej 2013 w składzie:

Zenon Bernacki – przewodniczący Rady Powiatu oraz kasztelan Zamku w Grodźcu,
Roman Gorzkowski – przewodniczący Rady Miejskiej w Złotoryi,
Bogdan Szyja – radny Rady Miasta i Gminy Świerzawa,
Kazimiera Tuchowska – Członek Zarządu TMZZ,
Mirosław Kopiński (przewodniczący) - Człowiek Ziemi Złotoryjskiej 2011,
Andrzej Kowalski – Człowiek Ziemi Złotoryjskiej 2012,
Robert Pawłowski – redaktor naczelny „Echa Złotoryi”. Nieobecni byli: Alfred Michler – historyk, działacz społeczny, autor książki „Aurimontanie, Goldbergerzy, Złotoryjanie”,
oraz Iwona Siwińska – wiceprzewodnicząca Rady Powiatu.

Było to pierwsze spotkanie, na którym ustalono harmonogram wyborów, sposób informowania o ich przebiegu oraz wybrano przewodniczącego. Tak jak podczas ubiegłej edycji przewodniczącym Kapituły został Mirosław Kopiński. W tym roku napłynęło prawie 60 zgłoszeń, w których zaproponowano 38 kandydatur do tytułu „Człowiek Ziemi Złotoryjskiej 2013”. Kapituła wykreśliła dwie propozycje, które nie dotyczyły określonych osób, lecz instytucji lub grupy osób. Jedna osoba zrezygnowała z udziału w wyborach przesyłając oficjalne pismo, a dwie osoby wykluczono na podstawie punktu 13. Regulaminu Wyborów (Członek kapituły nie może ubiegać się o tytuł „Człowieka Ziemi Złotoryjskiej”). Trzy pary kandydatur połączono, ponieważ uznano, że wskazane osoby wspólnie działały przy realizacji imprez czy zadań. Po tych zabiegach ustalono, że rozpatrywane będą następujące kandydatury:

Rosel Anesorge, Niemka, była prusiczanka, fundatorka renowacji pamiątkowej bramy cmentarnej w Prusicach, za wkład w pojednanie pomiędzy przedwojennymi i powojennymi mieszkańcami Prusic;

Sebastian Dębicki, dyrektor GOK w Pielgrzymce, za organizację wielu imprez na terenie gminy oraz współudział przy tworzeniu książki „Zachowane tradycje”;

Mirosław Gawrzydek, prezes RenButu, za przywrócenie znaczenia Złotoryi na obuwniczej mapie Polski oraz za wspieranie złotoryjskiej siatkówki;

Edwar Golanowski, trener piłki ręcznej, za pracę nad odbudową złotoryjskiej piłki ręcznej;

Małgorzata i Zbigniew Gruszczyńcy, pani sołtys Wojcieszyna oraz dyrektor ZOKiR, za pomysł i realizację wsi tematycznej – Wojcieszyn wioska Don Kichota;

Jakub Jagiełło, asystent posła do Parlamentu Europejskiego Piotra Borysa, prezes Fundacji Piłka CV, za pracę nad utworzeniem Młodzieżowej Rady Miejskiej w Złotoryi i stworzenie Stowarzyszenia Piłka CV;

Andrzej Kocyła, Prezes Stowarzyszenia Wilkołak, za organizację Mistrzostw Polski Siłaczy w Wyciskaniu Sztangi Leżąc, Piknik Strongman, oraz wyniki sportowe, które osiągnął;

Piotr Kocyła, Prezes Otwartej Ligi Amatorów Wieloboju Sportowego, za promocję sportu i promocję ziemi złotoryjskiej na arenie sportowej w kraju i za granicą;

Stanisław Kubicz i Urszula Regulska, kierownictwo zespołu Rota, za liczne występy i propagowanie pieśni i postaw patriotycznych;

Robert Kuriata, maratończyk, za godne reprezentowanie Złotoryi w Polsce i za granicą;

Daniel Leks, Prezes Złotej Cooltury, za organizację zajęć artystycznych dla dzieci i młodzieży;

Bartosz Łoś, dziennikarz muzyczny, organizator Zlotów Ewy Farnej, za organizację II Międzynarodowego Zlotu Ewy Farnej oraz za pomoc w organizacji wielu przedsięwzięć muzycznych i charytatywnych;

Robert Maciąg, pisarz, podróżnik, za książkę „Dobków. Wyspa”, pracę społeczną oraz promocję ziemie złotoryjskiej jako laureat nagrody National Geographic Travel 2012;

Paweł Macuga i Kamila Nankiewicz, działacze samorządowi, za propagowanie informacji publicznej, walkę o przejrzystość życia społecznego, prowadzenie portalu Zlotoryjanie.pl, na którym poruszane są ważne dla mieszkańców miasta sprawy;

Marta Marchaj, funadtor Fundacji Animus, za pomoc najbardziej potrzebującym z terenu powiatu złotoryjskiego, organizację zajęć dla dzieci i młodzieży, organizację Dni Wilkowa;

Anna Markiewicz i Renata Fuchs, nauczycielki języka polskiego w Gimnazjum w Złotoryi, za organizację III Złotego Dyktanda;

Wioleta Michalczyk, Przewodnicząca Rady Programowej TMZZ, za działalność na rzecz Gminy Pielgrzymka, współtworzenie książki „Zachowane tradycje”, pracę społeczną na rzecz ziemi złotoryjskiej;

Łukasz Misiek, wolontariusz, za pracę przy IV Biegu Szlakiem Wygasłych Wulkanów oraz przy organizacji wielu innych imprez na terenie miasta;

Paulina Ruta, Prezes Polskiego Stowarzyszenia Nordic Walking, za organizację IV Międzynarodowych Mistrzostw Polski Nordic Walking w Złotoryi, organizację i promocję Złotoryi podczas Mistrzostw Świata Nordic Walking w Szklarskiej Porębie, stałą promocję aktywnego trybu życia;

Małgorzata Semeniuk, działaczka społeczna, za działalność na rzecz lokalnej społeczności oraz współtworzenie książki „Zachowane tradycje”;

Cezary Skała i Agnieszka Młyńczak, propagatorzy epoki napoleońskiej, za działania na rzecz popularyzacji wydarzeń z roku 1813 na terenie ziemi złotoryjskiej;

Danuta Sosa i Tomasz Szymaniak, działacze społeczni, za organizację II Biesiady Kresowej w Złotoryi;

Marzena Szkutnik i Ewelina Szkutnik, działaczki społeczne, za działania, które doprowadziły do wyróżnienia wsi Czaple w konkursie „Piękna wieś dolnośląska 2013” w kategorii najlepszy start w odnowie wsi, organizację zajęć dla mieszkańców wsi, przygotowanie i zgłoszenie wsi do projektu Wioski z Pomysłem, dzięki którem Czaple stały się Wioską Piasku i Kamienia;

Tomasz Szymaniak, nauczyciel historii, wiceprzewodniczący Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, za propagowanie historii Kresów oraz historii kolei na ziemi złotoryjskiej;

Aneta Wasilewska, dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Złotoryi, za organizację na wysokim poziomie i w sposób niesztampowy życia kulturalnego w Złotoryi;

Andrzej Wojciechowski, pisarz, za popularyzację skomplikowanej historii niemiecko-polskiej Złotoryi na kartach swojej powieści „Opowieść złotoryjska”;

Ewelina Zabłotna, nauczycielka, pomysłodawczyni Fabryki Urodzin, za nietypowe pomysły na zajęcia dla dzieci oraz za organizację i współorganizację wielu imprez na terenie Złotoryi;

Paweł Zabłotny, wolontariusz, za zaangażowanie w działalność złotoryjskich stowarzyszeń, organizację pomocy dla potrzebujących;

Waldemar Zaborski, muzyk, za działalność artystyczną;

Józef Zatwardnicki, trener strzelectwa, za pracę z młodzieżą i osiągnięcie prze Klub Strzelecki Agat wielu sukcesów w strzelectwie sportowym na arenie krajowej i za granicą;

Barbara Zwierzyńska-Doskocz, Prezes Nasze Rio, za kierowanie złotoryjskim wolontariatem, współorganizowanie i organizowanie wielu imprez na terenie Złotoryi, aktywność samorządową.

Do 4 lutego członkowie Kapituły będą zbierać informacje na temat zgłoszonych kandydatur, by wyłonić piątkę nominowanych do tytułu. Nominacje wraz z podanym uzasadnieniem zostaną niezwłocznie ogłoszone. Natomiast 25 lutego zostanie dokonany ostateczny wybór Człowieka Ziemi Złotoryjskiej 2013. Tradycyjnie decyzja kapituły zostanie utrzymana w tajemnicy, aż do chwili ogłoszenia podczas uroczystej gali, która odbędzie się 20 marca w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji.

W tym roku patronem honorowym Wyborów Człowieka Ziemi Złotoryjskiej został Marszałek Województwa Dolnośląskiego, który docenił rangę Wyborów dla lokalnej społeczności.

Wszystkim zgłoszonym kandydatom należą się gorące gratulacje za ich pracę społeczną, nietuzinkową działalność na rzecz ziemi złotoryjskiej. I na tym powinienem skończyć. Niestety nie mogę się nie odnieść do komentarzy, które pojawiły się na portalu E-legnickie pod informacją, kto został zgłoszony do wyborów i za co. Gdy czyta się takie rzeczy pisane przez sfrustrowanych, nieszczęśliwych i nic niewnoszących do życia społecznego ludzi, w pierwszej chwili chce się wszystko rzucić, zająć się swoimi sprawami i być jak najdalej od wszelkiej działalności. Chciałbym bardzo przeprosić, że w pewien sposób naraziłem Państwa na te niczym nieuzasadnione szykany, Wstyd mi za ludzi, którzy wypisuj takie głupstwa, wstyd mi za tę bezimienną, tchórzliwą hałastrę. Na szczęście, mocno w to wierzę, są to jednostki, które korzystając z pewnej swobody jaką daje internet, dają upust swoim fobiom, żalom, niespełnionym marzeniom. Biorą odwet na ludziach, których często nigdy nie spotkali na swojej drodze twarzą w twarz... No właśnie po co? Jest to dla mnie niepojęte.

Mój serdeczny kolega w czasie studiów mawiał, gdy napotykałem na takie ujadanie i miałem serdecznie wszystkiego dosyć: Psy szczekają, a karawana jedzie dalej. I tego Drodzy Państwo trzymajmy się! Róbmy swoje. Bo ludzi pozytywnych jest znacznie, znacznie więcej.

Robert Pawłowski

Pierwsze lata

Tworzenie zakładu pod koniec lat 50-tych ub. wieku odbywało się w atmosferze poważnych trudności organizacyjnych i przeciwności natury społeczno-politycznej. Problemy organizacyjne wynikają wprost z warunków czasu i miejsca - ogólnej sytuacji gospodarczej regionu niewiele po zakończeniu II wojny światowej.

Tereny Ziem Zachodnich były w ostatnim okresie wojny jednym z najsilniej bronionych przez Niemców obszarem III Rzeszy, to właśnie na terenach Dolnego Śląska Niemcy ukrywali i deponowali resztki swoich zasobów (rezerwy Banku Rzeszy, zrabowane dzieła sztuki, tajemnice wojskowe i technologiczne) zakładając, że na tym terenie bezpiecznie doczekają końca wojny. Walki toczyły się tu więc z niewyobrażalną zajadłością i determinacją a każdy krok I Frontu Ukraińskiego znaczony był bardzo poważnymi zniszczeniami infrastruktury gospodarczej. Zniszczone drogi, mosty, szlaki kolejowe, zdewastowane obiekty przemysłowe. Czego wycofujący się Niemcy nie zdołali uprowadzić lub zniszczyć na zasadzie „spalonej ziemi", to zwycięska Armia Czerwona zrabowała „na poczet" przyszłych reparacji wojennych.

Konstytuujące się więc na tym obszarze nowe, polskie władze administracyjne, przejmowały z rąk rosyjskich komisarzy wojskowych infrastrukturę zdewastowaną, ale też praktycznie pozbawioną technicznych możliwości obsługi przez miejscowe fachowe siły, które odeszły na fali exodusu ludności niemieckiej. Tak więc pierwsze lata powojenne władze ziem odzyskanych poświęcały na fizyczną odbudowę infrastruktury gospodarczej regionu i było to zadanie niezwykle trudne. W takich warunkach rodziła się nowa placówka na zgliszczach starej infrastruktury.

Drugim składnikiem niekorzystnego klimatu dla tworzenia zakładu był dość poważny opór lokalnych władz politycznych powiatu złotoryjskiego. Funkcjonowanie więzienia w Wilkowie i roboczej brygady więźniów w Jerzmanicach stanowiło dla lokalnych władz źródło problemów. Zdarzające się prawdopodobnie ucieczki i dopuszczanie się przez osadzonych pospolitych wykroczeń i przestępstw musiało wpłynąć na wzrastającą repulsję społeczną wobec tych instytucji, co przekładało się na usztywnienie stanowiska władz lokalnych.

W relacji Pana Zygmunta Szeligi, który prowadził rozmowy wstępne z władzami powiatu pod koniec 1958 r. i na początku 1959 r., w sprawie lokalizacji zakładu poprawczego – Miejska Rada Narodowa, Powiatowa Rada Narodowa i Komitet Powiatowy PZPR w Złotoryi wykazywały chłodną obojętność i rezerwę wobec tej inicjatywy i dawało się wyraźnie odczuć bierny opór lokalnych decydentów.

O zmianie stanowiska lokalnych władz zdecydowała postawa Wojewódzkiej Rady Narodowej we Wrocławiu, która udzieliła Z. Szelidze i Ministerstwu Sprawiedliwości pełnego, wręcz entuzjastycznego, poparcia.

Nie bez znaczenia był także fakt, że Dyrekcja Zakładów Surowców Mineralnych w Pielgrzymce bardzo chciała „pozbyć się" zabudowań jerzmanickich, które stanowiły bardzo duży balast gospodarczy dla kamieniołomów już po likwidacji grupy roboczej więźniów.

W tych okolicznościach 4 marca 1959 r. powołano do życia Zakład Poprawczy w Jerzmanicach-Zdroju z dyrektorem w osobie Zygmunta Szeligi, który równolegle pełnił nadal funkcję kierownika Schroniska dla Nieletnich w Świdnicy. Zakład podlegał wówczas organizacyjnie Departamentowi Spraw Nieletnich Ministerstwa Sprawiedliwości, kadra placówki była funkcjonariuszami Służby Więziennej. W początkowej fazie istnienia zakładu zatrudniona była niewielka grupa ludzi, których zadaniem było dokonanie inwentaryzacji obiektu oraz jego przygotowanie funkcjonalne do przyjęcia pierwszych wychowanków, których doprowadzanie rozpoczęło się 1 września 1959 r. Większość pracowników mieszkała „kątem" na terenie zakładu w warunkach bardziej niż spartańskich i wykonywała prace przy remoncie zdewastowanego budynku głównego, remoncie baraków i ich adaptacji dla potrzeb warsztatów i szkoły. Łóżka, które w tych barakach znaleziono (pierwotnie używane przez niemiecki szpital wojskowy i polskie wojsko), przeniesiono do internatu, kraty w oknach budynku były już na miejscu, jako pozostałość po „hotelu robotniczym" kamieniołomów. Pan Zygmunt z tego pionierskiego okresu wymienia z wdzięczną pamięcią Panią Wojtasiewicz – księgową „uprowadzoną" z któregoś okolicznego PGR-u, Pana Kłosińskiego – księgowego magazynowego, który stracił posadę w więzieniu w Wilkowie, ponieważ miał... „złe pochodzenie socjalne", Pana Wysockiego – pierwszego kierowcę zakładowego, Pana Karasia – nauczyciela stolarstwa ściągniętego do Jerzmanic przez dyrektora Szeligę z Leżajska oraz Pana Józefa Wnęka, który był pracownikiem zakładu od pierwszych chwil jego istnienia do odejścia na emeryturę w 2001 r.

Przez krótki czas na terenie zakładu przebywała grupa robocza kilkunastu wychowanków z zakładu poprawczego w Świdnicy, lecz dość szybko zrezygnowano z ich pracy, gdy okazało się, że przysparzają więcej problemów, niż wnoszą pracy.

Dyrektor Szeliga miał świadomość, że poczynania jego i jego pracowników są obiektem zainteresowania i wręcz inwigilacji Milicji Obywatelskiej ze Złotoryi, której funkcjonariusze szczególnie nagłaśniali problemy, jakie placówka i wychowankowie ze Świdnicy sprawiają lokalnym władzom a o każdym, nawet drobnym incydencie milicja powiadamiała Ministerstwo Sprawiedliwości. Meldunkiem Milicji Obywatelskiej o zbrodniczym zrabowaniu silniczka elektrycznego (czeskiej produkcji) zająć się musiał osobiście wiceminister Walczak (znany skądinąd, jako surowy sędzia komunistyczny w procesach przeciwko uczestnikom poznańskiego czerwca 1956 r.).

Niedługo po tym doszło do konfliktu dyrektora Szeligi z milicją i komitetem partyjnym na tle wyrzucenia z pracy jednego z pracowników (prawdopodobnie konfidenta milicji). Konflikt zakończył Z. Szeliga składając 6 grudnia 1959 r. rezygnację z pracy w zakładzie i opuszczając Złotoryję. Następcą Zygmunta Szeligi na stanowisku dyrektora zakładu został pochodzący z Poznania Pan Antoni Stępczak.

Docelowo zakład miał przygotować pojemność 90 miejsc, lecz w pierwszym okresie w zakładzie przebywało niewiele ponad 20 wychowanków.

Wróćmy jeszcze do wspomnień Pana Szeligi. Zdaniem Pana Zygmunta, to były trudne czasy dla każdego człowieka, który nie pozwolił zredukować się do roli bezmyślnego trybika w komunistycznych mechanizmach władzy i na dobrą sprawę, pełniąc obowiązki dyrektora, nieustannie toczył walkę z głupotą, bezmyślnością i prymitywnym aparatczykostwem, co nie mogło mu przecież przysporzyć uznania władz. Kwituje ten okres łacińską maksymą: *„Silent leges inter arma"* („Podczas wojny milczą prawa"). Zapytany o ówczesnych wychowanków zamyśla się i po chwili odpowiada, że to byli zwyczajni młodzieńcy, pogubieni, jak inne dzieci rodziców, którzy przeżyli wojnę. Złodziejaszki, opryszki, ale nie bandyci – mordercy, czy zabójcy.

Jeden z pierwszych wychowanków po jakimś czasie okazał się *persona non grata* w Polsce i w jednej z audycji Radia Wolna Europa „obsmarował" Pana Zygmunta, jako „czerwonego kata"!

Ponieważ zakład nie organizował, a wręcz nie tolerował praktyk religijnych wśród wychowanków, nie potrafi Pan Zygmunt potwierdzić, czy któryś z wychowanków został księdzem katolickim, choć taką informacje potwierdzają później zatrudnieni pracownicy (np. państwo Wnękowie); pamięta za to, że w zakładzie przebywał syn jednego z adiutantów marszałka Polski Mariana Spychalskiego (Szef Sztabu Głównego WP, Przewodniczący Rady Państwa, Minister Obrony Narodowej, Poseł na Sejm PRL)....

Swoje wspomnienia kończy nakazem, byśmy dbali o to, żeby nauczyć naszych wychowanków porządku i dyscypliny oraz rozumienia i przestrzegania praw. Trudno o bardziej lapidarną definicję resocjalizacji.

Jacek Tyc

Bolesław Rogatka

Klęska Legnicka - fragment (mal. 1888 r., Zamek Królewski w Warszawie). Matejko zapisał: „Książęca wdowa (po prawej) dziećmi okolona, zbiera obłąkane myśli, obok niej syn najstarszy Bolesław Łysy - Rogatka. Szaleniec, pokusi się o władzę, chociaż prawy władca zgnębiony".

Bolesław Rogatka, zwany także Łysy, Srogi, Cudaczny (ok. 1224-1278), książę Śląska, Pan Złotoryi, przejściowo władca dzielnicy krakowsko - sandomierskiej i części Wielkopolski, był najstarszym synem Henryka Pobożnego i księżnej Anny oraz wnukiem Henryka Brodatego i św. Jadwigi Śląskiej. Władca - nazywany najbardziej bezmyślnym Piastem - znany był z chciwości, okrucieństwa i rozpustnego życia. Pozostawał też w ciągłym konflikcie z braćmi, porywał przeciwników politycznych oraz otaczał się kryminalistami.

Wydaje się, że Matejko właśnie ze względu na „sprośność obyczajów" zainteresował się księciem. Na obrazie „Bolesław Rogatka z Anną [Zofią?] Dederen", artysta uwidocznił ulubiony zwyczaj „częstego porzucania spraw państwowych i wałęsania się po okolicy z kochanką i lutnistą". Natomiast na obrazie „Klęska Legnicka", ukazanie mentalności księcia polegało na tym, że jego postać, bez widocznych oznak przygnębienia, została umieszczona tuż obok pogrążanej w żalu matki.

Bolesław Rogatka z Anną [Zofią?] Dederen i grajkiem (mal. 1877 r., własność prywatna). Matejko zapisał: „potomek Piastów, niegdyś pan na Lignicy, straciwszy wszystko puścił się na hulankę, był to człowiek najsprośniejszych obyczajów, zabrał ze sobą kochankę, zwaną Dederen. Siedząc oboje na koniu, raczą się trunkiem, grajek nadworny stroi skrzypce".

Znanych jest wiele powiązań Bolesława Rogatki ze Złotoryją. Zachowała się bulla papieża Klemensa z 1267 r. o rozpatrzeniu przez prałatów katedry wrocławskiej „skargi braci domu w Złotoryi" przeciw księciu Rogatce. W 1269 r. książę potwierdził nadanie zakonowi joannitów kościoła NNMP w Złotoryi. W 1258 r. w klasztorze franciszkanów w Złotoryi doszło do ugody z biskupem wrocławskim Tomaszem, którego wcześniej władca porwał dla okupu i teraz zobowiązał się dać takie zadośćuczynienie: *„Chcemy z naszego miasta Złotoryi ze stu rycerzami i pachołkami aż do kościoła św. Jana we Wrocławiu, któremuśmy zaszkodzili, w pełnym pokutnym stroju i boso iść, aby wyprosić rozgrzeszenie. Za chorych, obrabowanych i za te od nich wyciśnięte pieniądze chcemy się starać o przebaczenie [...]"*. Znana jest też legenda „O skazańcu ze Złotoryi". Gdy Bolesław skazał niewinnego złotoryjanina na śmierć, to rajcy miejscy po cichu wypuścili biedaka na wolność. *„Później książę przybywszy do Złotoryi zobaczył owego, o którym myślał, że został ścięty, niosącego cebrzyk. Zapytał więc, czy jest to ten, którego kazał w Legnicy ściąć. A kiedy ludzie to potwierdzili, na zapytanie, w jaki sposób, który tam zginął, niósł cebrzyk, odpowiedzieli, że zmartwychwstał. Stąd nie tylko on, ale i inni ludzie dali początek takiemu powiedzeniu, że jeśli wypadnie kogoś ściąć, to nic nie zaszkodzi, ponieważ ścięty będzie mógł w Złotoryi nosić cebrzyki"*.

Postać Rogatki zawsze budziła negatywne emocje oraz była bez reszty zła i groteskowa. Dlatego też nie sposób odnaleźć w Złotoryi jakichkolwiek śladów upamiętnienia księcia (tablica, ulica, pomnik).

Damian Komada

W poprzednim „Echu” znalazło się miejsce dla dziejów Sióstr Elżbietanek, dzisiaj zapraszamy do złotoryjskiego klasztoru Braci Mniejszych.

Zakon franciszkanów był prężnym ośrodkiem religijnym i kulturalnym Złotoryi. Michael Prach, najstarszy z tutejszych kronikarzy, stwierdził w 1597 r., że klasztor ufundowała im w **1208** r. św. Jadwiga, a sami mnisi przybyli w **1212** r. Nie zapominajmy, że pośrodku tych wydarzeń lokalizujemy nadanie Złotoryi magdeburskich praw miejskich przez księcia Henryka Brodatego w 1211 r. Według lokalnych kronikarzy działania pary książęcej wzajemnie się wtedy uzupełniały i działały inspirująco. Jadwidze przypisywano troskę o religijność tutejszych górników złota, a w tych działaniach zakonnicy mogliby okazać się bardzo pomocni. Również środki na budowę klasztoru i kościoła pochodzić miały z dochodów tegoż górnictwa. Tradycja dodała, że przyszli z samego Asyżu na mocy porozumienia, jakie Jadwiga zawarła ze św. Franciszkiem (zm. 1226). Mielibyśmy wówczas do czynienia z najstarszym klasztorem minorytów na Śląsku.

Informacje Pracha nie znajdują jednak potwierdzenia w żadnym innym źródle, także z XIII w. Samo istnienie zakonu sięga przecież 1210 r., a pierwszą udowodnioną siedzibą śląską był Wrocław, dokąd zawitali przed 1232 r. Nie można całkowicie jednak wykluczyć, że osiedlenie się franciszkanów w mieście mogło nastąpić pod koniec żywota św. Jadwigi (zm. 1243), tym bardziej, iż niedawno wskazano na pomijany dotąd fragment XVI-wiecznego franciszkańskiego źródła, wedle którego konwent złotoryjski pod wezwaniem Św. Marii konsekrował swój kościół pod patronatem Św. Antoniego z Padwy już w **1232** r. Jeśli tak było, to dopiero po śmierci Jadwigi ustanowiono ją opiekunką kościoła, co byłoby raczej sytuacją nieczęsto spotykaną. W każdym razie sam zakon obrał sobie św. Jadwigę jako patronkę, obok Franciszka i Antoniego.

W **1242** r. (oraz w 1243?) miała się tutaj odbyć kapituła prowincji czeskiej w obecności generała zakonu Haymona, z pochodzenia Anglika oraz prowincjała Rajmunda (historycy kwestionują jednak wiarygodność dokumentów na ten temat). Najstarsze pewne źródło o istnieniu klasztoru franciszkanów w Złotoryi pochodzi z 2 grudnia **1258** r. – książę Bolesław Rogatka w tutejszym „domo fratrum Minorum” (klasztorze braci mniejszych) postanowił pojednać się z biskupem Tomaszem I. Obecni byli przy tym: sławny kaznodzieja franciszkański Bertold z Ratyzbony, prowincjał Sławota i inni utytułowani mnisi. Sądzić trzeba, że skłaniali księcia do ugody także nasi franciszkanie. We wspomnianym dokumencie ks. Bolesław zobowiązywał się *z naszego miasta Złotoryi ze stu rycerzami i pachołkami aż do kościoła św. Jana we Wrocławiu … w pełnym stroju pokutnym i boso iść, aby wyprosić rozgrzeszenie*. Szkoda, że do owej pielgrzymki nie doszło, bo bardzo możliwe, że książę wyruszyłby z klasztoru franciszkańskiego.

Bezsprzecznie Złotoryja może się szczycić posiadaniem najprawdopodobniej chronologicznie drugiego, po Wrocławiu, klasztoru Św. Franciszka na Śląsku. Oba klasztory były fundacjami książęcymi i leżały z początku poza miastem. Zakonnicy przybyli do Złotoryi zapewne z Czech lub Łużyc, a konwent wszedł w skład prowincji polsko-czeskiej.

Brak źródeł historycznych uniemożliwia nie tylko ustalenie dokładnej daty przybycia franciszkanów do Złotoryi. Podobna sytuacja dotyczy powstania pierwszej tutejszej szkoły. Dawni kronikarze podtrzymywali lokalną tradycję, że św. Jadwiga nie tylko franciszkanów w 1212 r. sprowadziła, lecz równocześnie zobowiązała ich do założenia szkoły. Istnienie jej przy klasztorze nie byłoby niczym szczególnym, a kształciłaby głównie przyszłych mnichów. Jest więc wysoce prawdopodobne, że właśnie franciszkanom zawdzięczamy istnienie najstarszej złotoryjskiej szkoły, bez względu na to, w jakim stopniu przyjmujemy za udowodnione zasługi małżonki księcia Henryka Brodatego. Wiadomo niestety tylko, że w czasach przed reformacją w klasztorze działało studium z jednym nauczycielem.

Już w 1260 r. na kapitule generalnej w Narbonne, zaliczono tutejszą i wrocławską kustodię nie do czeskiej, a saskiej prowincji. Chodziło jednak zapewne o czasy o kilka lat późniejsze. W **1268** r. mnisi polscy i czescy spotkali się w Pradze i wypowiedzieli posłuszeństwo prowincjałowi Gamfredowi. Tenże z resztą braci, przeważnie narodowości niemieckiej, zebrał kapitułę do Złotoryi, skąd wysłano apelację do papieża o przywrócenie jedności prowincji. Kolejna kapituła zebrała się tu w 1270 r. Prawdopodobnie dopiero na początku lat siedemdziesiątych zmiana przynależności organizacyjnej została zrealizowana.

Od początku tutejszy klasztor cieszył się dużym autorytetem pośród współbraci. Złotoryjanie zakładali inne konwenty – źródła mówią o osiedleniu się ich w Zittau. Przed 1260 r. klasztor uzyskał pozycję kustodii, tj. wyższej jednostki w organizacji zakonu, która obejmowała swym zasięgiem z początku placówki w Lubaniu, Lwówku, Żaganiu i Zittau, a od końca lat sześćdziesiątych XIII w. także w Budziszynie i Zgorzelcu oraz – być może – Legnicę, Krosno i Żary. Była to jedna z dwóch głównych, obok wrocławskiej, kustodii franciszkanów śląskich.

Podczas konfliktu (1284-1291) między Henrykiem IV Probusem a biskupem wrocławskim Tomaszem II, tutejsi franciszkanie, podobnie jak większość konwentów, stanęli po stronie księcia. Sprawy franciszkanów śląskich omawiano na synodzie archidiecezji gnieźnieńskiej, zwołanym w 1285 r. do Łęczycy przez Jakuba Świnkę. Potępiając fakt, że odłączone od prowincji polsko-czeskiej klasztory ograniczały Polakom dostęp do zakonu, a nawet ich usuwały, postanowiono w Łęczycy, że w diecezji wrocławskiej nie będą do klasztoru przyjmowani cudzoziemcy. Z roku **1285** pochodzi zatem pierwsza wzmianka o ,,konwencie” złotoryjskim. Nie zawsze udawało się mnichom zachowywać surowe zasady reguły. W 1317 r. kustosz (zwierzchnik kustodii) złotoryjski Rodiger otrzymał pismo od prowincjała saskiego Wernera, który wyrażał zaniepokojenie różnymi przejawami schodzenia braci ,,ze ścieżki świętych obyczajów”, zarówno pod względem edukacji nowicjatu, moralności, jak i też ogólnej zniewieściałości i apelował o przestrzeganie klauzury i ,,ograniczeń refektarza”.

Brat Rodiger otwiera listę dziewięciu znanych z imienia XIV-wiecznych kustoszy złotoryjskich. Nie wiadomo, czy liczebność konwentu sięgała kilkudziesięciu osób, przekraczając, być może, przeciętną, tj. 30 zakonników w jednej średniowiecznej wspólnocie.

Świetną pozycję zakonu przerwały wojny husyckie. W pożodze i walkach większość mnichów postradała życie. Jednego ze schwytanych w **1428** r., o imieniu Thomas, włożono do beczki i – gdzieś w okolicach Bramy Legnickiej – długo podpalano, aby przedłużyć męczarnie. Między drugim i trzecim najazdem, gwardianem (1429) był ,,pobożny” Johannes Raschke, który troszczył się o podniesienie klasztoru z ruiny. Odbudowa ciągnąc się miała aż do 1448 r. Zapewne w gotowej już siedzibie zatrzymał się w **1453** r. Jan Kapistran, wygłaszając płomienne kazanie w języku łacińskim, tłumaczone przez mnichów na język niemiecki. Po podziale zakonu na tzw. zakonników konwentualnych oraz franciszkanów-obserwantów (ostatecznie w **1517**), w Złotoryi zadomowili się przedstawiciele tej drugiej gałęzi.

Egzystencja zakonu żebraczego opierać się musiała na licznych darowiznach, czynszach i nadaniach. Klasztor ściągał czynsze z Rzymówki, Nowego Kościoła, Brochocina, Jerzmanic, Pomocnego, jak też w samym mieście. Pamiętała o mnichach m.in. bogata rodzina Zedlitzów, darowując kielich i świece oraz las koło Muchowa (1505), a nawet kucharka, zapisując kuchenne naczynia (1482). W darowiznach i testamentach proszono mnichów o odprawianie za drobną opłatą mszy świętych za zmarłego. Do spraw finansowych, jak wymagały wewnętrzne przepisy, zakon musiał angażować zewnętrznych „prokuratorów”. Owi urzędnicy, przedstawiając ratuszowi sprawozdanie z rocznych wpływów i wydatków zakonu, niejednokrotnie podkreślali, że nawet z własnych środków od czasu do czasu wspomagali dochody klasztoru. Przy rachunkowości wspomagały mnichów także inne osoby, np. w XV wieku prowadził ich rachunki pisarz miejski Thomas Springer.

W tych czasach (1489) oprócz kielichów, ornatów i innych rzeczy liturgicznych, przechowywano w klasztorze około 30 tytułów książek, w tym jeden brewiarz, co świadczyło o niewielkiej bibliotece. Kilka pozycji składało się jednak z 2-3 tomów lub części.

Franciszkanie nie przetrwali reformacji, której miasto było silnym i wczesnym ośrodkiem już od 1522 r. (protestanckimi stały się kościoły św. Marii i św. Mikołaja). W latach **1526-1530** zakonnicy opuścili swój dom i miasto a ich ostatni ówczesny gwardian, Hampel, znalazł schronienie w Czechach. W 1526 r. zdążył on jeszcze zastawić jednemu z rajców część pól klasztornych za 26 grzywien. Około **1540** r. w pustym klasztorze znalazło swoją siedzibę słynne gimnazjum protestanckie Valentina Trozendorfa. Niestety, w **1554** r. ofiarą wielkiego pożaru padły również budynki klasztoru i kościoła św. Jadwigi. Stały w ruinie aż do XVIII w.

Od końca XVII w. bracia św. Franciszka powoli odzyskiwali wpływy w mieście. Około **1690** r. franciszkanin ojciec Anaklet Aulick (przedstawiciel gałęzi konwentualnej), jako spowiednik katolickich członków magistratu, odprawiał dla nich msze święte w ratuszu. Kilka lat później sytuację katolikom oraz franciszkanom ułatwił spór dwóch tutejszych pastorów i decyzja samych protestantów, którzy zdecydowali w **1703** r. o przekazaniu katolikom kościoła Mariackiego (pozostawał w ich rękach do 1707 r.). Uroczyste wprowadzenie do tej świątyni ojca Aulicka jako miejskiego proboszcza nastąpiło w Nowy Rok **1704** r. Kościelni wizytatorzy mogli więc zanotować na przełomie 1705/1706 r.: *Duszpasterstwem na trzy lata administruje ojciec Anaklet Aulick z Zakonu Braci Mniejszych Konwentualnych, który za pomocnika ma ojca Gerarda Gade z tego samego zakonu. Obaj dobrze wypełniają swoje obowiązki, mają biskupie pozwolenie na spowiadanie i odprawiają nabożeństwa według rytu diecezjalnego.* Miasto wypłacało proboszczowi około 125 talarów rocznie. Z każdej miejskiego browaru zakon otrzymywał piwo.

Furta klasztorna – inskrypcja z XVIII w., związana z tradycją sprowadzenia franciszkanów do Złotoryi przez św. Jadwigę. Fot. Ks. R. Rynkiewicz.

Rycina F. B. Wernera z XVIII w.

Fragment krypty pod kościołem św. Jadwigi. Fot. J. Banaszek.

Fragment krypty pod kościołem św. Jadwigi. Fot. J. Banaszek.

W marcu 1704 r. cesarska komisja uznała również prawa franciszkanów do odzyskania budynków klasztornych i reaktywowania szkoły a także zezwoliła odbudować klasztor i kościół. Miesiąc później powrócili do Złotoryi obserwanci, wraz z Joachimem Reichmannem jako „prezesem”, ojcem Leonem Negmannem i bratem Juvenalem Wille.

W maju odbyła się pierwsza procesja na Boże Ciało. Przez pierwsze trzy lata nie mogli jeszcze (postanowieniem biskupa) głosić kazań i odprawiać otwartych nabożeństw podczas świąt. Te czasy to krótki a zarazem jedyny okres złotoryjskiej koegzystencji franciszkanów konwentualnych i obserwantów.

Zakonnicy założyli księgi chrztów (1709), zmarłych (1710) i małżeństw (1711) dla niewielkiej w sumie parafii katolickiej. Nie dochodziło (jak gdzieniegdzie) do sporów pomiędzy zakonnikami a duchowieństwem diecezjalnym, ponieważ tutaj proboszcz był zarazem gwardianem w zakonie. Lepiej sytuowani świeccy zabiegali o prawo pochówku w krypcie kościoła św. Jadwigi. Według zapisów kronikarskich tylko w latach 1710-1754, oprócz mnichów, spoczęło tutaj aż 55 osób świeckich. Taka duża liczba świeckich pochówków w tym miejscu, w porównaniu do innych śląskich klasztorów franciszkańskich, świadczy zapewne o licznych dobrodziejach klasztoru i kościoła a także o cenieniu sobie przez zamożniejszych katolików złotoryjskich wiecznego spoczynku w takim właśnie miejscu.

Ogromnie ważnym przedsięwzięciem było oczywiście podniesienie z ruin kościoła i klasztoru. Gdy w **1725** r. w odbudowanej świątyni odprawiono pierwszą mszę, w klasztorze mieszkało już 12 mnichów, w tym 8 ojców, 1 kleryk, 2 braci świeckich. W **1733** roku franciszkanie poświęcili pomnik św. Jana Nepomucena przed schodami ratusza na złotoryjskim Rynku. Dwa lata później wspólnota liczyła 20 zakonników (13 ojców, 2 kleryków i 5 świeckich braci). Sporządzony przez Chrysogonusa Reischa, Johannesa Grünewalda i Luciusa Teichmanna wykaz kilkudziesięciu złotoryjskich mnichów do przełomu XVIII i XIX w. możemy uzupełnić o wikariusza Selesiusa Benischa, pochowanego w kościelnej krypcie w 1764 r. (szczęśliwie zachowała się jego tabliczka trumienna). W 1745 r. konwent składał się z siedemnastu mnichów.

Po ostatecznym włączeniu Śląska do Prus (1742), zakonne kroniki odnotowały wzrost nastrojów antykatolickich. Chciano nawet usunąć mnichów z miasta lub odebrać im roczną dotację, co się nie udało. W **1744** r., pod koniec tzw. drugiej wojny śląskiej, doszło jednak do ciekawej sytuacji: około 150 austriackich huzarów, którzy zajęli miasto, zażądało 1000 dukatów, w zamian obiecując nie splądrować Złotoryi. Protestanckie władze miasta, wychodząc z założenia, że Austriacy są katolikami, zwróciły się z prośbą do franciszkanów o pośrednictwo w rozmowach. Gwardian zaprosił trzech wyższych oficerów na śniadanie do klasztoru i podczas dobrego posiłku wyjednał kontrybucje jedynie w kwocie 250 dukatów. W 1759 r. z kolei w ogrodach klasztornych i krużgankach kwaterowały wojska pruskie i nocowali jeńcy austriaccy.

Gdy w **1810** r. zakon został dekretem władz pruskich z października pozbawiony swoich klasztorów i majątku, żyło tutaj 5 ojców, a gwardianem i proboszczem był Dominicus (Franz) Alsch. Pozostał on w mieście jako świecki już proboszcz parafii św. Jadwigi. Byłym franciszkaninem był również następca Alscha, Joseph Haas (1812-1814). Sekularyzacja nie oznaczała formalnego rozwiązania zakonu, lecz wielu ojców i braci wówczas z niego wystąpiło lub udało się na emigrację.

Do 1810 r. zakon posługiwał się pieczęcią z wizerunkiem św. Jadwigi, trzymającą w prawicy obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem a w lewicy - berło. W otoku widniał napis: SIGILLUM CONVENTUS GOLDBERGENSIS ORDINIS MINORUM REFORMATORUM AD S. HEDWIGEM.

Po sekularyzacji w kościele św. Jadwigi funkcjonował jakiś czas lazaret (**1813**). Od adwentu **1814** r. aż po dzień dzisiejszy kościół pozostaje świątynią katolicką.

Przez całą pierwszą połowę XX w. na parterze budynku poklasztornego istniała katolicka szkoła z mieszkaniami dla 1-3 nauczycieli, a w latach **1858-1889** część pomieszczeń zajmowały Siostry Elżbietanki. W dużej parterowej sali (przy północnym wyjściu na podwórze) zbierała się na swoich posiedzeniach rada miejska.

Od 1810 r. cały czas zamieszkiwali i zamieszkują były klasztor katoliccy księża. Oprócz nich, po 1945 r., na piętrze miał czas jakiś swoje mieszkanie organista z rodziną. W latach **1969-2012** na tej samej kondygnacji istniała również siedziba Sióstr Służebniczek (pleszewskich). W latach **1961-1992** odbywały się w salkach katechetycznych (parter) lekcje religii. Później gromadzili się tutaj członkowie Ruchu „Światło-Życie”, chór parafialny, ministranci oraz Związek Sybiraków. Teraz można m.in. spotkać działaczy parafialnych Kół Stowarzyszenia Rodzin Katolickich (od 1994) i Caritasu. Na dziedzińcu klasztornym, u figurki Matki Bożej, odbywały się nabożeństwa majowe dla młodzieży. Trzeba także odnotować „oryginalny” pomysł Prezydium Miejskiej Rady Narodowej z **1965** r., które (bezskutecznie!) zwróciło się do Prezydium Powiatowej Rady o zgodę, by *15 wolnych pokoi* dawnego klasztoru przeznaczyć na cele usługowe, lokując tutaj np. drukarnię, kierownictwo Zakładów Mięsnych, magazyny i chałupnictwo.

Minęło dość dużo czasu po sekularyzacji – nie potrafimy dokładnie go określić – gdy franciszkanie znów nawiązali kontakty ze złotoryjską parafią katolicką. W każdym razie, w październiku **1929** r. dwaj ich ojcowie, Bruno i Makarius, przez tydzień głosili w kościele św. Jadwigi nauki misyjne.

Po wojnie, na „franciszkańskie ślady” natrafiamy nie tylko w kronice parafialnej, założonej przez pierwszego polskiego proboszcza parafii św. Jadwigi ks. Michała Dunasa. W **1947** r. o.o. Franciszkanie z Legnicy pomagali w organizacji Triduum Paschalnego. Rok później oraz w kolejnych latach (co najmniej do 1963 r.) zakonnicy z tego samego klasztoru głosili rekolekcje wielkopostne. Gdy na przełomie marca i kwietnia 1963 r. prowadził je o. Cyryl Nastalski, *odmówiono ponad 4000 Różańców i przyjęto 8000 Komunii Św. w intencji II Soboru Watykańskiego. Poszczególne stany odnawiały swoje ślubowania przed ołtarzem M.B Częstochowskiej*. W październiku 1948 r. trzej legniccy franciszkanie głosili tutaj Misje św., na zakończenie których na cmentarzu ustawiono misyjny krzyż. Dwa lata później ojcowie dokonali renowacji misji, połączonej z odpustem. W **1953** r. poświęcono w kościele św. Jadwigi sztandar franciszkański.

Nic dziwnego, że franciszkanie szybko dowiedzieli się w **1946** r. o aresztowaniu przez SB księdza Dunasa. Podczas jego nieobecności w Złotoryi tak pisali w listopadzie tegoż roku z Jawora do biskupa wrocławskiego: *Ponieważ niegdyś kościół i klasztor w Złotoryi należały do naszego zakonu, przeto z polecenia N. O. Prowincjała zwracamy się z uprzejmą prośbą do Administracji Apostolskiej o przydzielenie kościoła i parafii Złotoria naszemu zakonowi, a N.O. Prowincjał wyśle tam natychmiast jednego lub dwóch Ojców celem objęcia obowiązków duszpasterskich.* Szybko jednak otrzymali

Ciąg dalszy na stronie 18.

Ciąg dalszy ze strony 17.

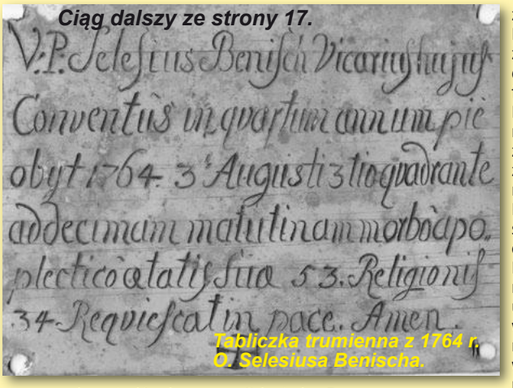

Tabliczka trumienna z 1764 r. O. Selesiusa Benischa.

odpowiedź odmowną: *O losie ks. Dunasa nic pewnego nie wiadomo, dlatego stanowiska nie można uważać za wakujące.* Czyżby w 1946 lub 1947 r. istniała szansa na powrót franciszkanów, gdyby ksiądz Dunas „siedział" w więzieniu dłużej niż tylko cztery miesiące?

Franciszkańskie odniesienia były również obecne w latach **1947-1948**, podczas starań parafii św. Jadwigi o odzyskanie kościoła p.w. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny. W czerwcu 1947 roku wpłynęły do Powiatowej Rady Narodowej w Złotoryi dwie petycje: Polskich Katolików, podpisana przez około 800 osób, oraz Zrzeszenia Kupców Polskich w Złotoryi z 54 podpisami. Obie przywoływały fakty, iż kościół Mariacki dopiero w 1522 r. stał się ewangelicki, a kościół św. Jadwigi jest już za mały dla powiększającej się ciągle parafii katolickiej. Oprócz tego, co jest najważniejsze w omawianym kontekście, powoływały się na plany powrotu kościoła św. Jadwigi do franciszkanów. Jednak nie wiadomo, na ile poważnie je wówczas rozważano w Administraturze Apostolskiej we Wrocławiu. W każdym razie były to – do **2013** r. – ostatnie wypowiadane publicznie słowa o ewentualnym reaktywowaniu klasztoru Braci Mniejszych w Złotoryi (a kościół NNMP powrócił do parafii katolickiej dopiero w 1958 r.).

Jedenastego dnia każdego miesiąca (od **2008** r.) w kościele NNMP sprawowana jest Eucharystia w intencji ludzi chorych z sakramentem chorych. Po Mszy św. odbywa się nabożeństwo w intencji chorych oraz procesja wokół kościoła z figurą Matki Bożej z Lourdes. Nabożeństwa te prowadzone są przez franciszkanów z klasztoru w Pińczowie, a zwłaszcza przez ojców Teodora Knapczyka, Łukasza Buksę i Pacyfika Iwaszko. Z pińczowskimi mnichami współpracuje od lat schola parafialna parafii NNMP w Złotoryi, podczas nabożeństw z modlitwą o uzdrowienie chorych, odprawianych w mieście i na terenie diecezji legnickiej, oraz w czasie rekolekcji. Od 2012 roku schola, we współpracy z O. Buksą, prowadzi w Złotoryi koncerty uwielbienia w Uroczystość Bożego Ciała a Wspólnota Odnowy w Duchu Świętym, działająca przy tejże parafii, organizuje rekolekcje zamknięte dla mieszkańców Złotoryi i chętnych przy współpracy z w/w Ojcami. Wspólnota od **2011** roku wraz z O. Teodorem organizuje w parafii nocne czuwania modlitewne w Uroczystość Zesłania Ducha Świętego, na które przybywają osoby także spoza terenu diecezji legnickiej.

Nie można zapomnieć o jeszcze jednej formie ciągłej obecności franciszkanów w Złotoryi. W wymienianej już krypcie kościoła św. Jadwigi, położonej pod prezbiterium i zakrystiami, wciąż spoczywają w otwartych trumnach szkielety zakonników, pochowanych przed 1810 r. Od kilku lat dostęp do krypty jest, niestety, niemożliwy, a profanowane wielokrotnie zwłoki przedstawiają przykry widok (niżej podpisany był ok. 1990 r. świadkiem nawet wyciągnięcia przez złotoryjskich wyrostków jednego szkieletu przez okienko i zawieszenie go na pobliskim drzewie). Nie ulega wątpliwości, że nie tylko z szacunku dla dokonań franciszkanów sytuacja domaga się zmiany. Mamy nadzieję, że w przyszłości gospodarze świątyni i konserwator zabytków pomyślą także o renowacji i udostępnieniu krypty, która nie ma swojego odpowiednika w żadnym innym złotoryjskim kościele.

Roman Gorzkowski

Fot. Marzena Szkutnik

Od dawna wiadomo, że Złotoryjski Las, rozciągający się w pobliżu wsi Czaple, jest wyjątkowym obszarem nie tylko na ziemi złotoryjskiej i Śląsku, ale w całym kraju. Las stał się własnością Złotoryi w 1393 r., stąd jego nazwa. Leżący w jego centrum Choiniec, dziś przysiółek Czapli, ma bardzo ciekawą historię: od średniowiecza przechodziła tędy uczęszczana m.in. przez kupców i pielgrzymów droga ze Złotoryi do Lwówka, istniało tutaj kilka zajazdów a nawet kościół, po którym, niestety, nie ma już śladów. Złotoryjski Las słynie jednak głównie z czegoś innego – tylko tutaj w Polsce na stosunkowo niewielkim obszarze znajduje się tak dużo kamiennych krzyży, a oprócz nich jeszcze kamień ze starą inskrypcją.

Do końca ubiegłego roku znanych nam było sześć krzyży Złotoryjskiego Lasu: dwa pamiątkowe (pamięci) i cztery, najprawdopodobniej w większości pokutne, wszystkie bardzo ciekawe ze względu na ryty narzędzi zbrodni oraz inskrypcje. Omijały je turystyczne szlaki piesze, do niektórych trudno było trafić. Część z nich znana była już przed wojną, lecz niektóre zostały odnalezione, odrestaurowane lub zabezpieczone w 1979 i 2004 r. przez Jerzego Majdana, Daniela Wojtuckiego, Leona Majchrzaka, Jana Paraniaka i Ryszarda Lecha.

Nic dziwnego, że w 2009 r. narodził się w Towarzystwie Miłośników Ziemi Złotoryjskiej pomysł wytyczenia jedynej w swoim rodzaju ścieżki historyczno-dydaktyczno-przyrodniczej, w której zaprojektowanie zaangażowali się niżej podpisani. W 2010 r. była o tym mowa na konferencji naukowej w Złotoryi, poświęconej zabytkom średniowiecznego prawa, którą zorganizowały Stowarzyszenie Ochrony i Badań Zabytków Prawa i TMZZ. Złotoryjskiego Lasu i ścieżki dotyczyło również kilka artykułów w „Echu Złotoryi" (maj 2009, czerwiec-lipiec 2009, lipiec-sierpień 2010, grudzień 2010). Tutaj odbyły się także plenery Złotoryjskiego Klubu Fotograficznego. Wszystko na to wskazuje, że w 2014 r. powstanie w Złotoryjskim Lesie Ścieżka „Szlakiem kamiennych krzyży w Choińcu", z tablicami informacyjnymi i miejscami odpoczynku. Sięgać będzie na północy po Czaple, na południu dochodzić do bazaltowego i tajemniczego Świątka, zielonego pieszego szlaku turystycznego i Drogi św. Jakuba. Urząd Gminy Pielgrzymka („rękę na pulsie" trzyma tu Marzena Szkutnik) złożył stosowny projekt w Partnerstwie Kaczawskim i Urzędzie Marszałkowskim Województwa Dolnośląskiego, finansowo pomoże też Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej we Wrocławiu i TMZZ.

W takim właśnie momencie, gdy jeszcze nie jest „za późno", wszystkich zaangażowanych w realizację ścieżki, zainteresowanych dziejami Złotoryjskiego Lasu oraz kamiennych krzyży zaskoczyło odkrycie, którego bohaterami są dwaj pracownicy Leśnictwa Czaple. „Echo Złotoryi" czuje się zaszczycone, że jako pierwsze informuje o tym wydarzeniu.

Dnia **4 października 2013** r. leśniczy **Wojciech Grzywa** i podleśniczy **Jarosław Rudnicki** rutynowo patrolowali fragment Złotoryjskiego Lasu od strony Nowych Łąk, a zarazem niedaleko tajemniczego kamiennego krzyża z jedynym w Europie rytem poziomicy i kielni. Przy okazji próbowali wyjaśnić pochodzenie kilkudziesięciu zagadkowych niezbyt głębokich dołów w tym rejonie. Tak wspomina ten moment Wojciech Grzywa: *Jarek potknął się o wystający z ziemi kikut podstawy krzyża i wyrażając swą opinię na temat nierówności terenu, zwrócił moją uwagę: wtedy zobaczyłem na ziemi przed sobą zarys leżącego pod mchem krzyża.* Spod darni, gałęzi i mchu odsłonili wykonany z piaskowca krzyż z inskrypcją, rozpoczynającą się datą 1808. Po ułamaniu leżał tam zapewne od dłuższego czasu, samoistnie znikając pod ściółką. Tkwiący obok w ziemi prostokątny kamień okazał się fragmentem trzonu krzyża. Pełni emocji spędzili przy krzyżu blisko godzinę, wydobywając go z ziemi i oczyszczając inskrypcję na tyle, by na gorąco wykonać kilka zdjęć telefonem komórkowym. Nie spodziewali się takiego odkrycia w tym miejscu; mieli nadzieję na takie znalezisko ewentualnie bardziej na północy Złotoryjskiego Lasu, ponieważ na starych mapach figuruje taki zaginiony obiekt. Krzyż trafił z powrotem do swojej kryjówki, by nie paść łupem poszukiwaczy skarbów lub przypadkowych spacerowiczów, nie rozumiejących znaczenia takich zabytków.

Fot. Roman Gorzkowski

Kolejna wyprawa do tego miejsca odbyła się 9 stycznia 2014 r. Marzena Szkutnik oraz niżej podpisani musieli przyznać, że odkrywcy krzyża świetnie znają się na leśnym kamuflażu. Stanąwszy bowiem przy miejscu, w którym leży krzyż, nie potrafiliśmy bez wskazówki niczego zauważyć.

Krzyż, razem z wystającym fragmentem trzonu, liczy 86 cm wysokości, rozpiętość ramion wynosi 51 cm; trzon i ramiona mają przekrój kwadratu o boku 21 cm. Udało się odczytać inskrypcję: ***1808 Ist ein Geh: Man¯ gef: word: Den 14 Oct.*** We współczesnym języku niemieckim brzmiałaby**:** „Am 14. Oktober 1808 ist ein gehängter Mann gefunden worden" a w tłumaczeniu na język polski: ***14 października 1808 r. został*** [tutaj] ***znaleziony powieszony mężczyzna.*** Niewykluczone, że archiwalia przyniosą szczegóły tego tragicznego wydarzenia, którego nie wiążemy w tej chwili z jakąś wojenną zawieruchą. Ten siódmy krzyż ma więc charakter pamiątkowy i jest najmłodszym kamiennym krzyżem Złotoryjskiego Lasu. W tej chwili czeka na ustawienie i zespolenie z tkwiącą w ziemi częścią trzonu.

Oczywiście wypada teraz dokonać korekty zaprojektowanej już trasy „Szlakiem kamiennych krzyży" – wydłuży się ona o kilkaset metrów, nie przekroczywszy jednak 14 kilometrów. Krzyż wzbogacił północną część ścieżki, która teraz poszczycić się będzie mogła czterema takimi obiektami, w tym jednym krzyżem pamiątkowym, czyli właśnie niedawno odkrytym.

Dzięki Wojciechowi Grzywie i Jarosławowi Rudnickiemu Złotoryjski Las ujawnił kolejną ze swych tajemnic. A kryć może jeszcze niejedną. Jakiś czas temu saperzy usuwali stąd niewybuchy. W leśnych ostępach natrafić można nie tylko na tajemnicze zagłębienia i ślady kamieniołomów, ale także na sporych rozmiarów piaskowcowe głazy czy fragmenty fundamentów. Złotoryjskiego Lasu nie mieli okazji zbadać archeolodzy. W. Grzywa przyznaje, że inskrypcja skłoniła go do zainteresowania się starym pismem gotyckim. Takie umiejętności mogą się przydać – życzymy jemu oraz jego koledze znalezienia kolejnych skarbów historii. Kto wie, czy nie będą nimi kamienne krzyże… .

Fot. Marzena Szkutnik Wojciech Grzywa (z lewej) i Jarosław Rudnicki

Siódmy krzyż w Złotoryjskim Lesie właściwie nie powinien kojarzyć się z tytułem znanej powieści Anny Seghers. Nasze wydarzenia mają wymiar optymistyczny. Z drugiej jednak strony, obie historie skłaniają do tego, by nie zapominać o przeszłości i wyciągać z niej wnioski.

Roman Gorzkowski
Józef Banaszek

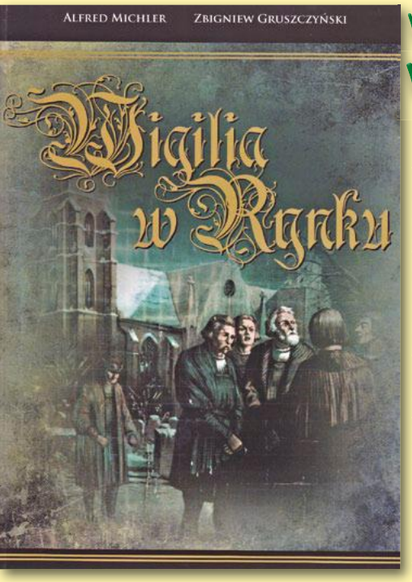

Warto przeczytać
Wyjątkowa Wigilia

Nieprzypadkowo tuż przed ostatnimi Świętami otrzymaliśmy książkę, poświęconą w całości złotoryjskim wigilijnym śpiewom, których dzieje sięgają XVI wieku. Jej autorami są osoby najbardziej w temacie kompetentne: Alfred Michler, któremu zawdzięczamy powojenny powrót do tego wyjątkowej w skali nie tylko Polski tradycji, oraz Zbigniew Gruszczyński, dyrektor Złotoryjskiego Domu Kultury, zaangażowanego w jej realizację. Jesteśmy świadkami działań wielu pokoleń złotoryjan (aż po 2012 r.), które widziały i nadal widzą sens w corocznych spotkaniach, czy to nazywając je Śpiewami w Rynku (Ringsingen), Złotą Wigilią czy Wigilią w Rynku. Poznajemy również losy potomków owych siedmiu ostatnich mieszczan z 1553 r. – dzięki Alfredowi Michlerowi spotkają się oni w Złotoryi w bieżącym roku. Bogato ilustrowana publikacja zawiera również kalendarium dziejów miasta oraz streszczenia w języku niemieckim i angielskim. Książką dysponuje Urząd Miejski, który jest wydawcą.

W post sciptum autorzy napisali: *Historia Złotoryi to sztafeta wielu międzynarodowych pokoleń. Pałeczkę Ringsingen pokolenia lat 30. i 40. XX wieku zgubiły. Podniosło ją po 50 latach i biegnie dalej pokolenie lat 90., uczestnicząc w Wigiliach w Rynku.*

Roman Gorzkowski

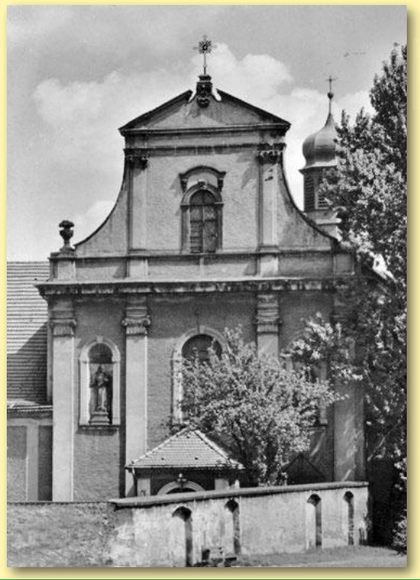

Kącik starej widokówki
„Mały" kościół 1974

Dla „rasowych" kolekcjonerów czterdziestoletnia widokówka jest zdecydowanie za młoda. Jednak dla wielu młodszych złotoryjan to cenne, i niekiedy starsze od nich, źródło informacji. Dopiero w 1974 r. kościół św. Jadwigi zasłużył sobie po wojnie na osobną kartkę pocztową z fotografią J. Osuchowskiego. Fasada kościoła nie mogła wówczas być inna, lecz otoczenie teraz wygląda inaczej. Dzisiaj na pierwszym planie zobaczylibyśmy pierwszy kamień Ścieżki św. Jadwigi i kilka związanych z nią drzewek, za to po prawej stronie nie istnieje już szpaler drzew. W 1974 r. Kościół św. Jadwigi jako świątynia parafialna w mieście nie miał wtedy jeszcze żadnego konkurenta (aż do 2000 r.).

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii
Rozbieramy mosty dla…

Niespełna dwadzieścia lat temu tak wyglądał pewien bliski złotoryjanom most na Kaczawie. Archiwum TMZZ zawdzięcza zdjęcie znanemu i nieodżałowanemu fotografowi Janowi Brysiowi. I w naszym i jego imieniu prosimy o podanie kilku szczegółów: o jaki obiekt chodzi, kiedy miała miejsce jego częściowa „rozbiórka", jak przeprawiano się wówczas na drugi brzeg rzeki? Liczymy także na to, że Czytelnicy dysponują innymi fotografiami, związanymi z historią tego zabytku. Z pewnością zasługuje on na osobną monografię.

Roman Gorzkowski

Komu przekażesz część swojego podatku za 2013 rok?

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej liczy sobie 25 lat. A każdy rok to wiele inicjatyw skierowanych do mieszkańców naszej Małej Ojczyzny. To kolejne wydania książek, broszur, widokówek i czasopism, to konferencje, i niezliczona ilość przebytych kilometrów podczas rajdów i wycieczek, to tysiące zdjęć, obrazów i różnych przedmiotów wyeksponowanych podczas wystaw.

1% - wielkie możliwości

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, **KRS 0000124632**
59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1

Niektóre z przedsięwzięć zrealizowanych przez TMZZ w 2013 roku: doroczne spotkanie z Czytelnikami Echa Złotoryi i wernisaż wystawy "Zdjęcia Tygodnia 2012", organizacja konkursu "Kampania napoleońska 1813 r. na ziemi złotoryjskiej", II Złotoryjska Biesiada Kresowa, VI Złotoryjska Pielgrzymka Drogą św. Jakuba, VI Rajd Czterech Świątyń Jadwiżańskich, XII Powiatowy Dzień Regionalisty, XVI Rajd Jadwiżański, wydanie książki "Nazwy ulic, placów i osiedli w Złotoryiad średniowiecza do 2012 r.", prelekcje "Złotoryjanie na obrazach Jana Matejki" oraz "Rozwój turystyki kolejowej na Dolnym Śl. w XIX i XX w., wystawy: "Słupki, krzyżyki, pikotki", "125 lat języka esperanto", "Zagłada polskich elit. Akcja AB - Katyń", prac Bronisława Maciejaka.

- Ośrodek Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej
- Echo Złotoryi
- Biblioteczka Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
- Złotoryjski Klub Fotograficzny
- Koło Kresowian
- Klub Kolekcjonera
- Rajdy i szlaki św. Jadwigi oraz św. Jakuba
- Księgarnia internetowa

Kopalnie Surowców Skalnych S.A. Złotoryja

Lena Wilków Spółka z o.o.
PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne "Bazalt" SA w Wilkowie
BAZALT

Powiatowy Bank Spółdzielczy w Złotoryi

POAR Złotoryja

VITBIS szklane bombki choinkowe

KOSD WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe Surowców Drogowych Sp. z o.o. w Wilkowie

grysy bazaltowe
STONESPOL
płukane
kolorowe
posypki
mączki
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

GALERIA SPONSORÓW

Walczymy o Twoje odszkodowanie
Dyrektor Regionalny tel. 607 431 235

Lasy Państwowe
Nadleśnictwo Złotoryja

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 (Dom Nauczyciela „Bacalarus"),
tel. 76 8788137, Internet: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli społecznie: Anna Chrzanowska (sekretarz redakcji), Roman Gorzkowski, Iwona Pawłowska, Kacper Pawłowski, Robert Pawłowski (redaktor naczelny), Krystyna Rybicka (dystrybucja), Danuta Sosa, Krystyna Zalewska, Jolanta Zarębska (korekta).
Reprodukcja na okładce: Praca zbiorowa uczniów SOSzW w Złotoryi inspirowana C. Monetem.